

EGZEMPLARZ
BEZPŁATNY

POPCORNER+

FILMY • SERIALE • GRY • MANGA • ANIME • KOMIKS • PRZEKROJE



ISSN 0271-938X

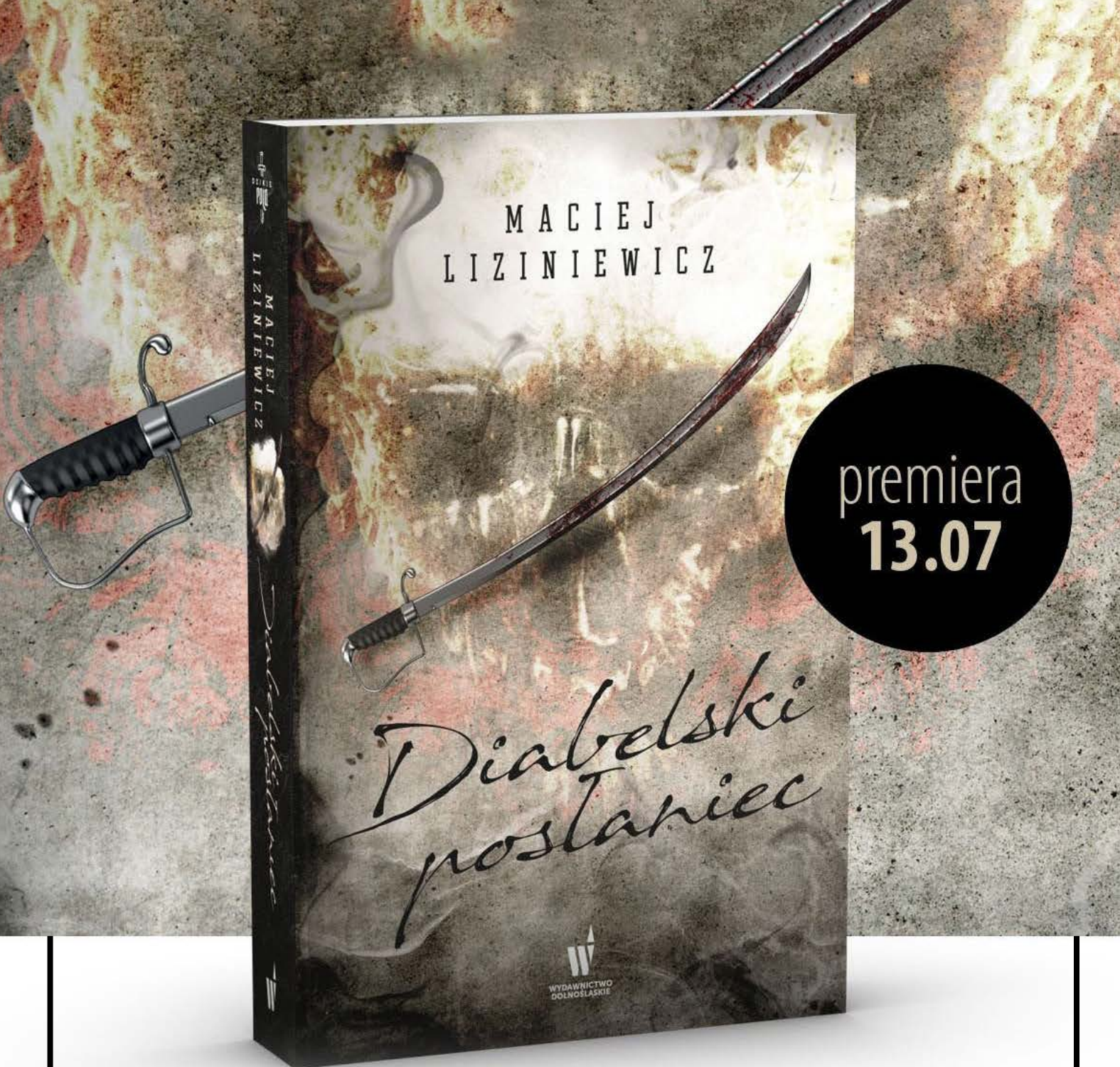


9 770271 938029

WB HBOMAX DC

THE
BATMAN
DC

Nieregularnik nr 1 (6) 2022



- Spis treści -

SERIALE

Hawkeye	4
Zachowaj spokój & Odwilż	6
Biuro	7
Squid Game	8
Kolej podziemna	10
Wiedźmin 2	11
Cowboy Bebop	12
Krakowskie potwory	14

FILMY

Batman	16
Jurassic World: Dominion	18
Powrót do tamtych dni	20
Nie patrz w górę	21

GRY

Martha is Dead	22
Titan Chaser	23
Slipstream	23
Twelve Minutes	23

MUZYKA

Rammstein „Zeit”	25
------------------	----

LITERATURA

Młyn do mumii	26
Wojny alchemiczne	27
Kruk	27

MANGA I ANIME

Hi Score Girl	28
Rumik World	29
Dota. Dragon's Blood	30
Kłamstwa bogów	30
Wspomnienia Emanon	31
Polska druga Japonia część 3	32

KOMIKS

Sunstone	33
Wąż wodny	33

PRZEKROJE

Ojciec chrzestny mangi w Polsce	34
---------------------------------	----

Bezpłatny magazyn
"POPCORNER"
nr 1(6) 2022

Redaktor naczelny:
Paweł Koczułap

Zespół redakcyjny:
Anna Szewczyk-Cywińska
Anna Szumacher
Artur Harasim
Anna Maria Sutkowska
Jarosław Przewoźniak
Marcelina Cywińska
Mateusz Borkowski
Mateusz Cholewiński
(suche jak suchary podpisy do zdjęć)

Korekta:
Katarzyna Dobosz
Anna Szewczyk-Cywińska
Marcelina Cywińska

DTP:
EvilPixel
Strona magazynu:
www.popcorner.evilpixel.pl

Fanpage magazynu:
fb.com/popcornermagazyn

Wydawca:
EvilPixel
WYDAWNICTWO
ul. Mickiewicza 11
22-400 Zamość

Druk:
print
ul. Ciurlionisa 4
05-270 Marki



ŻYJEMY W INNEJ RZECZYWISTOŚCI

W październiku tego roku na polskim rynku premierę będzie miał pierwszy tom świetnej mangi „Dead Dead Demon's DeDeDe Destruction”, autorstwa Inio Asano. W wielkim skrócie fabuła prezentuje się następująco: nad Tokio pojawia się gigantyczny statek kosmiczny, wzbudzając zrozumią reakcję obronną ludzkości. Po upływie kilku lat, gdy nie udaje się poznać prawdziwego celu przybyszów, ów statek zaczyna wtapiać się w krajobraz miasta, ludzie zaś powracają do swojego codziennego życia i problemów. Świat powraca na swoje dawne tory. Ta historia jest fikcją, lecz na naszych oczach rozgrywa się prawdziwy dramat Ukrainy. Sytuacja wydaje się analogiczna, bowiem gdy na naszych sąsiadów spadały pierwsze rosyjskie pociski, świat zamarł. To był szok, że coś takiego może mieć miejsce w Europie w XXI wieku. Nie było wówczas mowy, by skupić się na dotychczasowych, codziennych czynnościach, jak na przykład oglądanie ulubionych seriali. Wszystko zeszło na drugi plan, rzuciliśmy się do pomocy i to była jak najbardziej właściwa reakcja. Minęło jednak kilka miesięcy i przyzwyczailiśmy się do tej innej, wojennej rzeczywistości. To naturalny proces, lecz szalenie niebezpieczny. Nie możemy bowiem przestać pomagać potrzebującym, gdyż wówczas zło zatriumfuje. Ukraińcy zasługują na to, by żyć w pokoju. Nie zapominajmy pomagać w tym trudnym czasie.

Paweł Koczułap – redaktor naczelny

Patronat medialny:

nowy kurier
ZAMOJSKI

życie
ZAMOŚCIA.pl

Kopiowanie i rozpowszechnianie całości lub części magazynu bez zgody redakcji zabronione. Za treść reklam i ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Zastrzega sobie prawo do redakcyjnego opracowywania przysyłanych tekstów i dokonywania skrótów. Wszystkie grafiki zostały użyte w celach informacyjnych.

Czy uda się przełamać klątwę?

GDZIE SOKÓŁ MÓWI DOBRANOC...

Czasy, kiedy człowiek z łukiem kojarzył się jednoznacznie z socjalistą z Lasu Sherwood minęły bezpowrotnie. Na naszych ekranach mamy bowiem jeszcze Green Arrow'a z DC, Hawkeya od Marvela, Milwę z Wiedźmi-na czy upośledzonego Ryszarda od grubasa Walaszka. A ostatnio dołączyła do nich jeszcze nowa bohaterka - Kate Bishop.

W końcu jest! Zawitała i do naszego, skromnego Imperium Lechickiego długo oczekiwaną platforma streamingowa Disney+. Nie będę udawał, że wcześniej za pomocą VPN nie oszukiwałem i nie oglądałem dzieł dostępnych tylko w ofercie Myszki Micky. Jednak Disney+ używany zgodnie z zasadami smakuje zdecydowanie lepiej. Na pierwszy ogień legalnego życia odpaliłem kolejny serial kontynuujący wątki MCU - „Hawkeye”.

Nie dajcie się zwieść tytułowi. Clint Barton znany jako Sokół Oko, w serialu gra jedynie rolę drugoplanową. Główne wątki toczą się bowiem wokół pyskatej 22-letniej łuczniczki, która w dzieciństwie była świadkiem Bity o Nowy Jork. Szczególnie zaimponował jej Hawkey. Postanowiła wtedy, że szarpanie cięciwy zostanie jej hobby. Mam szczęście, że nie postanowiła naśladować Hulka.

ta i zaserwował przyjemną opowieść o relacji mistrz-uczeń. W telegraficznym skrócie: Kate wpada w tarapaty. Spotyka wtedy swojego idola z dzieciństwa, a ten postanawia jej pomóc. Wtedy już oboje wpadają w tarapaty. I gdy wydaje się, że gorzej być nie może zaczyna padać śnieg... Serial w miarę możliwości zachowuje realizm. Elementów science-fiction jest niewiele - wszak strzała z gadżetem Człowieka Mrówki powiększającą swoją wielkość tysiąc razy w ciągu nanosekundy to fakt naukowy.



„WE KIDNAPPED YOU, ROZUMIESZ?”

Główne atuty serialu to nienachalny, ale wszechobecny humor, prawdziwa chemia między bohaterami oraz Bożonarodzeniowy klimat. Sam spróbuję w tym roku odpalić sześciu-odcinkowego Hawkaya zamiast Kevina. Podobnie jest więcej, gdyż i tutaj akcja czasem dzieje się w domu, a czasem w Nowym Yorku ;).

Muzyka towarzysząca przygodzie wpada w ucho i oddaje świąteczny klimat (mimo, że serial oglądałem w lipcu). Nie zapada jednak w pamięć na długo. Polski dubbing jest poprawny. Jednak oryginalna ścieżka dźwiękowa wypada zdecydowanie atrakcyjniej i są to słowa osoby, która (co nie jest zbyt popularne) jest fanem dubbingowania filmów.



Ani kroku dalej kutafony!
Bo ta cięciwa zaśpiewa tango!

Szczególną uwagę warto zwrócić na rolę głównej antagonistki - Echo, której postać odgrywana jest przez niesłyszącą aktorkę indiańskiego pochodzenia. Mimika twarzy bohaterki robi niesamowite wrażenie. Daje +3 do walorów artystycznych. Choć Echo robi robotę, nie jest w stanie przebić Florence Pugh, która swoim rosyjskim akcentem kradnie całe show. Dialog przy kolacji między Yeleną a Kate cofałem i oglądałem kilka razy. Warto!

Hawkey a sprawa polska? Główną rolę trzecioplanową gra nasz rodak, Polak. I trzeba przyznać, że Adamczyk sprawił dużo frajdy



Makaron z serem łączy silniej niż więzy krwi...

swoim krajanom przemycając do filmu dużo polskich wstawek. Zaznaczam, że mówimy tutaj o oryginalnej ścieżce dźwiękowej. Urywki z soczystym „spie*dalamy” czy „we kidnapped you, rozumiesz?” obiegły polski Internet w tę i w tę. I chociaż są to fragmenty, których Amerykanin nie zrozumie, jednak Polak będzie śmiał się do łez... albo chociaż wypuści powietrze nosem.

Serial mogę z czystym sumieniem polecić każdemu, nie tylko fanom Marvela. Można go śmiało wrzucić na półkę pt. kino rodzinne. Niestety ma on też wady...

[SPOILER] Największą zadrą, mentosem nie do przeknięcia jest to, co twórcy zrobili z postacią Wilsona Friska. Z Kingpina - inteligentnego super złoczyńcy, który będąc krok od śmierci nie błągał o litość a bezczelnie śmiał się w twarz Daredevila, zrobiono ciapę w hawajskiej koszuli. Mam nadzieję, że Disney to poprawi. W innym przypadku serialu MCU zaczęła się ścieżka z torrentów.

▲ M. Cholewiński



Żeby Kevin znowu nie nagrzał klamki...

W rolę Kate Bishop wcieliła się aktorka znana z „Bumblebee” - Hailee Steinfeld. Zainteresowanym polecam również wrzucić jej nazwisko w wyszukiwarkę YouTube, gdyż Hailee lubi też od czasu do czasu coś zaśpiewać. Dalsza obsada jest standardowa. W rolę Hawkaya wcielił się oczywiście Jeremy Renner, Yelen Belovą - siostrę Czarnej Wdowy zagrała Florence Pugh. Strój dresiarza przydzielił z kolei aktor z ziemi... Naszej ziemi! A mianowicie - Piotr Adamczyk. Reszty nie będę przedstawiał, co by nie popsuć niespodzianki z pojawienia się złoczyńcy znanego z Netfliksowego uniwersum Marvela.

Fabula, mimo że schematyczna jest przyjemna i zapewnia przyzwoitą porcję frajdy. Disney dał nam odpocząć od ratowania wszechświata.



SPOILER! Nie patrz na zdjęcie przed seansem!

„Zachowaj spokój”
kryminał
6 (1 sezon)

„Odwilż”
kryminał
6 (1 sezon)

WARSZAWA I SZCZECIN W NOWYCH KRYMINAŁACH

W ostatnim czasie na platformach streamingach Netflix i HBO możemy oglądać dwa nowe polskie seriale kryminalne: Zachowaj spokój i Odwilż. Cieszą się one dużą popularnością wśród widzów. Polecamy wam oba tytuły i trzymamy kciuki za kolejne polskie realizacje.

Zachowaj spokój to przeniesiona na nasz krajowy grunt interpretacja powieści Harlana Cobena. To kryminał z rozbudowaną warstwą obyczajową, który opowiada o relacjach rodzinnych i bezwarunkowej miłości rodziców do dzieci. Stawia pytania o to, ile jesteśmy gotowi zrobić dla rodziny, jak wiele możemy wybaczyć. Serial pełen jest emocji. Wszystko to sprawia, że dobrze się go ogląda. Sam H. Coben chwali polską ekranizację swojej powieści.

Fabula obejmuje losy kilku rodzin, z których najważniejszy jest wątek dotyczący rodziny Barczyków. Pełnoletni syn, Adam, dziwnie się zachowuje, przynajmniej w odczuciu swojej matki. Rodzice instalują na telefonie chłopaka aplikację szpiegującą, dzięki której mogą kontrolować syna, co wywołuje pierwsze konflikty. Okazuje się, że przecucia matki są prawdziwe, bo Adam nagle znika z domu. Podczas poszukiwań okazuje się, że chłopak wpłatał

się w podejrzané interesy. Akcja jest dynamiczna, momentami sensacyjna, z imponującymi ujęciami Warszawy z drona i ze współczesną muzyką w tle.

Druga propozycja to Odwilż, polski kryminał produkcji HBO, którego akcja toczy się w Szczecinie. Miasto doskonale prezentuje się jako lokalizacja kryminału (mroczne zaułki, port, żurawie). Posępna, mroczna atmosfera budują muzyka i zdjęcia. Podziwiam umiejętności twórców, którym udało się stworzyć idealny klimat kryminału.

Komisarz Katarzyna Zawieja próbuje odkryć tajemnicę śmierci młodej kobiety i zaginięcia jej dziecka. Zagadka kryminalna jest całkiem ciekawa, zastanawiamy się czy mamy do czynienia ze zbrodnią rodzinną czy zemstą na ojcu zamordowanej, prokuratorze. Pani komisarz z uporem dąży do odnalezienia dziecka zabitej kobiety, jednak rujnuje relacje ze swoją kilkuletnią córeczką. Odbiór tej ciekawej historii psują niestety kreacje odtwórców niektórych ról oraz dialogi, które pozostawiają sporo do życzenia (bohaterowie nie rozmawiają ze sobą, nie komunikują się, tylko rzucają urwane zdania). Serial można pochwalić za bardzo dobry pomysł, ale niektóre elementy zaszkwankowały w jego realizacji.

Anna Szewczyk-Cywińska

NETFLIX
HBOmax



Chyba trudno byłoby znaleźć nudniejszy temat na komedię niż praca w firmie sprzedającej papier. Okazuje się jednak, że jeśli do tak niepozornego motywu podejmiemy z fantazją, efekty mogą być zaskakująco udane. Kto by pomyślał, że serial komediowy o pracy w biurze okaże się taką rewelacją.



Serial The office miał premierę w 2001 r. Wielkiej Brytanii, a jego najbardziej znana wersja, którą wam przybliżamy, został nakręcony kilka lat później w Stanach Zjednoczonych. Pracownicy sprzedającej papier firmy Dunder Mifflin zajmują się wszystkim, tylko nie pracą. Robią sobie nawzajem głupie żarty, plotkują, romansują i układają pasjansa na komputerze. Przesiadują w kuchni, gdzie toczą niekończące się dyskusje albo co chwilę urządzają imprezy: urodzinowe, świąteczne czy z jakiegokolwiek innej okazji (jest nawet specjalny komitet, który się tym zajmuje). To serial sprzed kilkunastu lat, prezentacje PowerPoint nie są codziennością, ale przymusem, a sprzedaż internetowa dopiero się rozkręca.

Czy może być w tej historii coś zabawnego? Okazuje się, że tak, bo każde wydarzenie – bezsensowne szkolenie, spotkanie z klientem czy widmo zwolnień w firmie – to pole do popisu dla scenarzystów. Świetnie rozpisują sceny, ubarwiając je ironicznymi i zabawnymi dialogami. Znakiem rozpoznawczym serii są niepoprawne polityczne żarty. Czasem zdecydowanie przekraczają one granice dobrego smaku, wydają się żenujące, a wiele z zachowań przedstawianych w serialu uznalibyśmy dziś za mobbing. Jeśli po tym opisie nie jesteście pewni czy Biuro to rozyrywka dla was, możecie obejrzeć kilka pierwszych odcinków (są krótkie, około dwudziestominutowe) i wtedy zdecydować czy wam się podoba.

Ogromna zaleta serialu to znakomicie sportretowani bohaterowie. Przede wszystkim serce i mózg biura, dyrektor Michael Scott – perfekcyjnie zagrany przez wybitnego w tej roli Steve'a Carella. To szef egoistyczny, narcystyczny, kreatywny w wymyślaniu wątpliwych ulepszeń w firmie. Michael chce na siłę uszczęśliwić swoich pracowników i nie może znieść, kiedy któryś z podwładnych go nie lubi. Jego spo-

soby okazywania sympatii są – w zależności od naszej oceny postaci – nieco niezręczne albo wręcz nachalne. Z czasem Michael pokazuje swoją wrażliwość i troskę o pracowników, udowadnia, że zawsze mogą na niego liczyć. A my w którymś momencie, z zaskoczeniem zdajemy sobie sprawę, że go polubiliśmy.

Michaelowi wtórują inni bohaterowie. W biurze zatrudnionych jest kilkanaście osób, z których każda ma swój niepowtarzalny styl. Jim i Pam, para romansująca w biurze, przodują w wymyślaniu żartów. Ryan jest stażystą z przerostem ambicji, Kelly biurową gadułą. Angela, surowa księgowa, kocha kotki. A dyżurnym dziwakiem jest Dwight – trochę aspołeczny lizus zapatrzonego w swojego szefa, prowadzący farmę buraków i hostel, nerd, a przy tym mistrz sprzedaży papieru. To tak barwna postać, że miał o nim powstać osobny serial.

Od października możemy oglądać polską wersję Biura, której akcja została umiejscowiona w firmie sprzedającej wodę mineralną. Serial nie powiela bezpośrednio fabuły pierwowzoru, ale dostosowuje ją do znanych nam realiów. Wątki odwołujące się do polskiej historii, kultury, mentalności sprawdzają się świetnie. Wśród bohaterów najlepiej wypada Darek – polski odpowiednik Dwighta, malkontent pamiętający czasy komunizmu. Seria robi pozytywne wrażenie, czekamy na drugi sezon.

Biuro to ogólnosiwiatowy fenomen. Ma rzesze wiernych fanów, a jego bohaterowie stali się twarzami krążących po internecie memów. Jeśli wciągniecie się w serial, przepadliście na dzień-więć sezonów. A na koniec będzie wam naprawdę trudno rozstać się z biurową rodziną.

Anna Szewczyk-Cywińska



NETFLIX

Platforma Netflix przedstawiła polskim widzom produkcję nad którą aktualnie pracuje. Przyjrzyjmy się zatem nieco bliżej zapowiadzanym tytułom.



Broszat (jesień 2022)

W połowie lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku, kiedy komunistyczna Polska otwiera się na Zachód, trzy wyemancypowane i wyrafinowane kobiety świadczą usługi seksualne, aby cieszyć się życiem na swoich warunkach. prostytutki i PRL? Takie zestawienie może mieć naprawdę duży potencjał. W serialu zobaczymy Magdalénę Popławską, Wiktorię Filus i Matyldę Gieźno.

The Hive (2024)

Warszawa, niedaleka przyszłość. W wielkich molochach zgłoszonych do rozbioru wciąż żyją ludzie, których nie stać na wyprowadzkę i o których system zapomniał. Tęta to aktywistka, która walczy o ich przetrwanie i ocalenie budynków. O ocalenie przestała już natomiast walczyć Elena, zatopiona w poczuciu winy po stracie dziecka. Nagły rozpad gigantycznego blokowiska sprawi, że dwie kobiety będą musiały inaczej spojrzeć na swoje życie. I poradzić sobie w nowej sytuacji, w której nieliczna grupa ocalałych będzie chciała przeżyć za wszelką cenę. Dziękując wszystkim różnice i narastające konflikty nie ułatwią współpracy. A rozpadający się budynek okaże się niekiedy mniejszym zagrożeniem niż drugi człowiek...



Detektyw Forst (2023)

Gdy Tatry stają się areną brutalnych morderstw, do akcji wkracza komisarz Forst. Działając wbrew procedurom, z pomocą dziennikarki Olii Szrebskiej, odkrywa spisek sięgający korzeniami II wojny światowej. Serial powstaje na motywach powieści „Ekspozycja” i „Przewieszenie” autorstwa Remigiusza Mroza. Tytułową rolę ma zagrać Borys Szyc, reżyserować będzie Daniel Jaroszek, a scenariusz tworzą Agata Malesińska i Jacek Markiewicz.

Pan Samochodzik i Templariusze (2023)

Znany historyk sztuki, łowca skarbów oraz właściciel niezwykłego samochodu wpada na trop skarbu templariuszy, który jest kluczem do wielkiej mocy, mogącej zachwiać równowagę dobra i zła na świecie. Wspierany przez zaprzyjaźnionych harcerzy Pan Samochodzik rozpoczyna wielki wyścig z czasem i wrogą organizacją, którego stawką jest dziedzictwo rycerskich zakonów.

Dzień Matki (jesień 2022)

Nina, żyjąca w ukryciu była agentką NATO do zadań specjalnych, musi wykorzystać wszystkie swoje śmiertelności umiejętności, aby uratować syna porwanego przez bezwzględnych gangsterów. Odnalezienie Makska to dla niej podwójna szansa. Szansa na ponowne pocucie adrenaliny oraz możliwość powrotu do życia syna, którego musiała przed laty porzucić. „Dzień Matki” to przewrotny film akcji, w którym główna bohaterka pokonuje demony przeszłości najczęściej przy pomocy własnych pięści. To brutalna i emocjonalna historia o najsilniejszym rodzaju uczucia - miłości matki do dziecka.



Jeszcze przed Świętami (zima 2022)

Kiedy w Wigilię ktoś złośliwie zamienił paczkę z prezentami, trzydziestoletnia kurierka samotnie wychowująca syna musi uratować święta mieszkańcom miasta. Na swojej trasie spotyka wyjątkowo namolnego klienta, któremu należy na jak najszybszym odzyskaniu swojej przesyłki.

Lovzone (2023)

Nastolatka w spektrum autyzmu, która patrzy na świat przez obiektyw kamery, jedzie nad polskie morze ze swoim najlepszym przyjacielem, aby nakręcić film o miłości. Ma on zapewnić im miejsce w wymarzonej szkole filmowej. Na horyzoncie pojawia się chłopak z obozu sportowego, którego obecność wystawia przyjaźń dwójki nastolatków na próbę. Serial nie ma obsady, ale wiadomo, że reżyserkami będą Kamila Tarabura i Katarzyna Warzecha.



Gry rodzinne (lato 2022)

Serial komediowy, który zaczyna się w dniu ślubu studentki medycyny z zamożnym chirurgiem plastycznym, kiedy to rodziny młodej pary zdają sobie sprawę, że jedynie, co ich łączy, to sekrety i kłamstwa. Tajemnice obu stron wychodzą na jaw już podczas uroczystości. Serial ma składać się z ośmiu odcinków.

Infamia (koniec 2023)

Po latach spędzonych w Wielkiej Brytanii nastoletnia Romka i jej rodzina przeprowadzają się do rodzimej Polski. Po powrocie dziewczyna próbuje odnaleźć siebie, balansując między współczesnym światem nastolatków a tradycyjnymi romskimi zasadami. Serial na podstawie pomysłu Anny Maliszewskiej, która go wyreżyseruje razem z Kubą Czekajem. Obecnie powstaje scenariusz, nie znamy jeszcze obsady.

Noc w przedszkolu (jesień 2022)

Przedszkolna próba generalna jaselek zmienia się w sąd nad niegrzecznym 5-latką, w którego obronie staje partner mamy chłopca. Początkowo wiedziony egoistycznymi pobudkami mężczyzna w trakcie procesu zaczyna dojrzywać do roli ojca.



Południowokoreański serial „Squid Game”, kierowany z założenia do wąskiego grona miłośników gatunku battle royale, zaledwie kilka dni po swojej premierze zdołał pobić wszystkie dotychczasowe rekordy oglądalności Netfliksa.

W równie szybkim tempie zdobył media społecznościowe (facebook, tiktok), wywołał ogólnoswiatową dyskusję o wpływie brutalnych produkcji telewizyjnych na małych, zaniepokoił szkołę i kościół. Trafił na łamy najważniejszych mediów mainstreamowych, jak również lokalnej prasy. Choć od premiery minęło kilkanaście miesięcy, w sieci nadal bardzo łatwo natknąć się na memy z serialu, planowane są bliźniaczo podobne rozgrywki live inspirowane tymi z serialu (z tą różnicą, że bez faktycznej przemocy), zaś w specjalistycznych sklepach hobbyistycznych możemy zaopatrzyć się w figurki POP postaci z serialu. Rozmiar fenomenu „Squid Game” naprawdę trudno ująć w konkretne ramy, ponieważ zjawisko ewoluje i w dalszym ciągu może czymś nowym zaskoczyć.

Scenarzysta i reżyser Hwang Dong-hyuk w wywiadach prasowych podkreślał, że praca nad serialem kosztowała go utratę(!) sześciu zębów i była męcząca psychicznie. Fabuła jest standardowa dla gatunku: grupa 456 ludzi, którzy borykają się z ogromnymi problemami finansowymi dostaje niespodziewaną szansę odmiany swojego smutnego losu. Wystarczy, że wezmą udział w tajemniczej grze opierającej się na serii pojedynków w dziecięcych zabawach jak np. „Zielone, czerwone” (u nas znane jako „Raz, dwa, trzy, baba ja ga patrzy”) czy przeciąganie liny. Zwycięzca

zostanie miliarderem, przegrań stracą to co mają najcenniejsze, czyli własne życie. 455 ludzi umrze. Cała gra toczy się na tle pstrokatych ubrań zamaskowanych strażników czuwających nad prawidłowym przebiegiem gry i równie kolorowych pomieszczeń. Kontrast uderza po oczach.

Kliska battle royale została idealnie zaaplikowana, serial bowiem angażuje uwagę widza i trzyma w napięciu aż do smutnego zakończenia. Poszczególne epizody (zwłaszcza szósty) potrafią rozjechać naszą moral-

ność. Dziecięce gry stając się festiwalem przemocy, demaskują najgorsze ludzkie instynkty. Każdy z bohaterów dostaje swoje przysłowio-



we pięć minut, dzięki temu mamy swoje własne typy, sympatie i antypatie. Śmierć danej postaci nie pozostaje widzowi obojętna. Łatwo jest również identyfikować się z tymi nieszczęśliwymi. Co prawda jesteśmy w komfortowej sytuacji, gdyż możemy te zawody oglądać na ekranie, jednakże w obecnym, kapita-



NETFLIX



Dziewczyna i kosmonauta (2023)

Futurystyczny romans Netfliksa. Dwaj piloci F-16, a prywatnie przyjaciele, Nikodem i Bogdan, konkurują o serce pięknej Marty oraz o to, który z nich poleci w kosmos. Rywalizację wygrywa Niko, jednak z powodu niewyjaśnionej awarii powraca z misji dopiero po 30 latach. Pomimo upływu lat na Ziemi, wiek ocalałego kosmonauty zatrzymał się w dniu startu. Podczas gdy Niko myśli tylko o Marcie, świat pragnie poznać tajemnicę jego wiecznej młodości. Serial będzie składać się z sześciu odcinków.



Hellhole (jesień 2022)

Horror od twórców „W lesie dziś nie zaśnie nikt” i „W lesie dziś nie zaśnie nikt 2” to pełna intryg opowieść o tajemnicach skrytych w pewnym klasztorze. Po niewyjaśnionym zniknięciu kilku pensjonariuszy milicjant Marek postanawia stawić im czoła. Przenika więc do tamtejszych struktur, odgrywając rolę duchownego. Wkrótce przekona się jednak, że sam stał się przegranym w tej grze, a jej stawka jest większa, niż mógłby wcześniej przypuszczać.



Informacja zwrotna (koniec 2023)

Uzależniony od alkoholu były muzyk rockowy wyrusza w szaloną podróż w najciemniejsze zakamarki Warszawy i ludzkiej psychiki, aby odnaleźć swojego zaginionego syna. Serial jest ekranizacją książki Jakuba Żulczyka pod tym samym tytułem, a w głównej roli zobaczymy Arkadiusza Jakubika. Reżyseruje Leszek Dawid, a za scenariusz odpowiada Kacper Wysocki.

Freestyle (2023)

Próbując zarobić na nagraniu debiutanckiej płyty, obiecujący uliczny raper i jego przyjaciel wpadają w tarapaty, kiedy duża transakcja sprzedaży narkotyków kończy się dla nich totalną katastrofą.

Dzisiaj śpisz ze mną (2023)

Zmęczona świetną pracą i odgrywaniem roli idealnej pani domu kobieta rzuca się w wir namiętego romansu ze swoją wielką miłością sprzed lat.

▶ Paweł Koczułap



Broad Peak (jesień 2022)

W 1988 roku, po miesiącach przygotowań oraz tysiącach wydanych dolarów, międzynarodowa zimowa wyprawa mająca na celu zdobycie najtrudniejszej góry świata, K2, kończy się niepowodzeniem. Pomimo poczucia klęski szeregującego się wśród himalaistów dwóch Polaków, Maciej Berbeka i Alek Lwow, postanawia zdobyć sąsiadujący szczyt, Broad Peak. Wbrew powszechnej opinii doświadczonych wspinaczy mężczyźnom udaje się przekonać kierownika wyprawy, Andrzeja Zawadę, na ryzykowną zmianę planów. Nowy kierunek ekspedycji zmieni i naznaczy życie Maćka w sposób, którego nigdy by się nie spodziewał.



Pewnego razu na krajowej jedyńce (jesień 2022)

Grupa skonfliktowanych nieznajomych przypadkowo rusza w trasę samochodem użytym w ucieczce po napadzie na bank, w którym znajdują dwa miliony złotych. Nieoczekiwani znalazcy postanawiają zatrzymać pieniądze pomimo tego, że grasujący na wolności przestępca zrobi wszystko, żeby je odzyskać. Serial w stylu produkcji Quentin Tarantino.



Gang Zielonej Rękawiczki (jesień 2022)

Po nieudanym napadzie nieuchwytny gang trzech szlachetnych złodziejk: Zuzy, Kingi i Alicji ukrywa się w ciętym domu opieki. Podczas gdy policja depcze im po piętach, gang kontynuuje swoje działania w osrodku, dając drugą młodość jego starszym mieszkańcom. Serial będzie składał się z ośmiu odcinków.

Oprac. Paweł Koczułap



„Kolej podziemna”
dramat
10 odcinków

prime video

W KRAINIE KOSZMARÓW

GOLSON WHITEHEAD KOLEJ PODZIEMNA. GZARNA KREW AMERYKI

Kolej podziemna to jedna z tych książek, które otwierają nam oczy na mało znany świat. W sposób bezpośredni opisuje nieludzkie traktowanie niewolników w USA, a na poziomie metaforycznym – ucieczkę od zniewolenia. Połączenie powieści obyczajowej z thrillerem sprawia, że ta opowieść bardzo mocno dotyka naszych emocji.

Głównymi bohaterami powieści są ofiara i łowca: zbiegła niewolnica i ścigający ją bezwzględny tropiciel. Cora to dziewczyna od dziecka zmuszona do pracy na plantacji bawełny. Odejście matki i trudy życia na farmie odcisnęły na niej swoje straszne piętno. Jest zamknięta w sobie i nieufna, może dlatego trudno ją polubić, chociaż oczywiście współczujemy jej losu. Przewyciężając strach, dziewczyna ucieka z południa USA, z Georgii, chcąc osiąść w którymś z północnych stanów. Cały czas depcze jej po piętach powieściowy czarny charakter, Arnold Ridgeway. To mistrz w swoim fachu, człowiek, który dobrze wykonuje swoją pracę, którą jest tropienie zbiegłych niewolników. Także historia jego życia jest niełatwa, naznaczona odrzuceniem i brakiem porozumienia z ojcem.

Cora ciągle musi uciekać, nigdzie, gdzie się znajdzie nie jest jej dane odpocząć. Towarzyszymy jej więc w upiornej podróży przez Stany Zjednoczone XIX wieku. Cora to Alicja, która wpadła do króliczej nory i tam spotyka ją kolejne sennie koszmary. Okazuje się, że wszystkie stany, nawet te wydawałoby się tolerancyjne i postępowe, ciągle traktują osoby czarnoskóre jako mniej wartościowe. Każdego przystanek podróży Cory to inny obraz rasizmu. To nie tylko plantacja z sadystycznymi właścicielami, bicie, gwałty, pogromy, poniżanie i pozbawianie godności. To też cywilizowane miasteczko, gdzie bohaterka dorabia jako żywy eksponat w muzeum, na wystawie przedstawiającej Afrykę. Gdzie oferują jej naukę czytania i pracę, ale także sterylizację.

Najbardziej niepokojącą postacią historii i, być może, podpowiedzią do odczytania powieści jest Homer. To kilkuletni czarnoskóry chłopiec, pomagier Ridgeway. Jest wolny, jednak poddańczo oddany swojemu panu, którego jest prawą ręką. Kim jest Homer? Może tylko dzieckiem, które nic nie może zrobić, patrząc na bestialstwo swojego pana. A może reprezentuje wszystkich ludzi, którzy przyłożyli rękę do ucisku niewolników – również tych, którzy pozostali obojętni. Czy to Homer, gdy dorósł, uważając się za współwinnego, spisał tę straszną odyseję, historię Cory i innych niewolników? A może



że chłopiec symbolizuje ludzi, którzy także dziś godzą się na gorsze traktowanie osób czarnoskórych, albo nawet szerzej, wszystkich niewinnych cierpiących?



Kolej podziemna reklamowana była jako ulubiona książka Baracka Obamy i Oprah Winfrey. W 2017 r. zdobyła Nagrodę Pulitzera. W zeszłym roku Amazon zaprezentował znakomity serial na motywach powieści. Obraz ma wielką siłę przekazu, oglądając film jeszcze mocniej doświadczamy więc okrutnego losu, który spotykał niewolników. Kolejne odcinki przeprowadzają nas przez kolejne stany, pozwalając poczuć strach związany z niekończącą się ucieczką jak z koszmaru snu. Okrucieństwo jest zestawione z pięknem krajobrazów Ameryki Północnej, pełnych gry światła scen, dopracowanej scenografii.

W swojej powieści Whitehead stworzył kolejną podziemną – fascynujący motyw liczący tysiące kilometrów trasy, którą uciekali zbiegli niewolnicy. W jej działanie, czyli pomoc uciekinierom, zaangażowanych jest wielu ludzi, których nie można łatwo zaszusładkować. Podróż tą kolejną wami wstrząśnie.

Anna Szewczyk-Cywińska

NETFLIX

WIEDŹMIN SEZON 2.

Od kiedy Geralt, Jennefer, Ciri i Jaskier zaskarbili sobie sympatię widzów w pierwszym sezonie serialu Wiedźmin, fani z niedosytem czekali na drugą część serii. Niestety rozwinięcie opowieści nie do końca spełniło oczekiwania, serial przeszedł bez większego echa. Nadzieje były duże, potencjał fabularny ogromny, ale w historii trudno odnaleźć dobrze znaną, porywającą magię wiedźmińskiego świata.



To zakłęcie znalazłam w chipsach...

I nie chodzi o to, że serial czerpie z prozy Sapkowskiego mniej, niż oczekiwiliby fani. To prawda, bardzo odchodzi od książkowego pierwowzoru, byłoby to jednak zrozumiałe, gdyby przynosiło korzyści dla fabuły. Jednak wątki są często zagmatwane, trudno zrozumieć kto jest kim i odnaleźć się w kolejnych wydarzeniach. Serial jest trudny w odbiorze nie tylko dla osób, które nie czytały książek. To moim zdaniem największy minus serialu.

A fabuła mogłaby przecież wiele zaoferować. Pył po bitwie pod Sodden opada. Jennefer zwycięża, ale dostaje się do niewoli Nilfgaardu. Gdy wraca na wolność jest pozbawiona swojej magicznej mocy, a jej sukces przywłaszcza sobie Vilgefortz. Tymczasem wojna zatacza coraz szersze kręgi. Czarodzieje i koronowane głowy koncentrują się na zakulisowych rozgrywkach i intrygach politycznych, debatują o losach kró-



Gapisz mi się na konar?!

lestw. Coraz osób odkrywa też, jak ważną postacią w tych zmaganiach jest zaginiona księżniczka Cirilla.

Świat staje się coraz bardziej posępny, atmosfera gęstnieje. Coraz silniej rysuje się konflikt między ludźmi i nieludźmi, który tak wyraźnie opisany jest w sadze Sapkowskiego. Elfy, krasnoludy, niziołki i drady próbują odnaleźć się w świecie rządzonym przez ludzi. Jako pierwsze w wojnę zostają wciągnięte elfy, które znalazły schronienie w Cintrze pod panowaniem Nilfgaardu. Także Geralt, który nie miesza się do polityki, musi opowiedzieć się po którejś ze stron.



Dlaczego umarł? - Bo musiał...

Inni odmienicy, których trochę lepiej poznamy, to wiedźmini. Geralt i Ciri, którzy myślą, że Jennefer nie żyje, trafiają do legendarnego Kaker Morhen. Siedziba wiedźminów, zamczysko, w którym zimują i się szkolą, jest piękna i mroczna, a zarazem stwarza domową atmosferę. Pod okiem wiedźminów Ciri uczy się walki i zastanawia się nad swoim przeznaczeniem. Ten wątek historii został bardzo dobrze zrealizowany.

W serialu zdecydowanie mniej jest Geralt. Zamiast na nim, seria koncentruje się na bohaterkach, które muszą coś udowodnić nie tyle światu, co sobie samym. Na pierwszy plan wysuwają się Ciri i Jennefer, ale sporo czasu poświęcono także czarodziejkom Fringilli czy Tissai. Ciri poszukuje odpowiedzi na pytanie kim jest i kim chce być. Czy księżniczką, która odzyska tron i uwolni podbite państwo, czy raczej po-



Masz tu kij, zamknij mordę i napier*** (...)

winna służyć ludziom jako czarodziejka albo wiedźminka? Ciągłe podkreślanie wyjątkowości Ciri i jej potężnej mocy, w którymś momencie staje się wręcz irytujące. Z kolei Jennefer, pozbawiona magicznych umiejętności i upokorzona, musi przekonać samą siebie, że może osiągać swoje cele, będąc nie potężną czarodziejką, ale zwykłą kobietą.



My jesteśmy wierchowcami bo siedzimy na wierchu...

Drugi sezon serialu jest bardziej przynębiający niż pierwszy, stanowi wprowadzenie do przyszłych wydarzeń, zarysowuje konflikty i intrygi. Niestety przez mnogość wątków jest trudny w odbiorze, to maraton ucieczek i podkreślania jak wyjątkową osobą jest dziecko-niespodzianka, księżniczka Ciri. To trochę przydługi przystanek na drodze do trzeciego sezonu.

Anna Szewczyk-Cywińska

SEE YOU, SPACE COWBOY

„Cowboy Bebop” to moja wielka miłość. Ten oryginalny, rzecz jasna, z lat 90. ubiegłego wieku. I właśnie dlatego postanowiłam podejść do jego netfliksowej, aktorskiej wersji tak, jakbym oryginału nie знаła. Chcąc obejrzeć go bez żadnych oczekiwań. A przede wszystkim – bez uprzedzeń.

A więc o czym jest „Cowboy Bebop”? To historia stara jak świat. Jest niejednoznaczny główny bohater. Jest jego przybrana, szalona i kompletnie niedopasowana rodzina niezwiązana krwią, a przyjaźnią lub interesami. Jest wielka przygoda. Jest okrutny złoceńca i piękna, tajemnicza kobieta. I pies. Można też zacząć ten opis inaczej: Oto kosmos, a w nim zdezeloowany statek, który widział więcej niż Serenitty, niż Millennium Falcon. A na statku trójka łowców głów, którzy, owszem, uratują świat i w ogóle zrobią co tylko zechcesz, oczywiście za odpowiednią opłatą. Ewentualnie za obiad, bo choć ich zawód należy do intratnych, to zwykle zapłać za szkody, które wyrządzili podczas pościgu za przestępcą, przewyższa ich zarobek. Ot, taka to wesoła gromadka.

Spike, nasz główny bohater, to trochę trefniś, trochę karateka, uciekający przed mroczną i bardzo zabójczą przeszłością. Jet, były gliniarz, zajął się karierą łowcy, tytułowatego „kowboja”, bo wyleciał z pracy w policji, wrobiony przez jakiegoś obrotnego kolegę. Natomiast Faye, obudzona z hiberna-

cji łowcy nie ucieka przed przeszłością, tylko właśnie pożądlwie jej szuka – amnezja nie jest dla niej fajną sprawą, szczególnie gdy ktoś zajmował ci wszystkie dokumenty i dane identyfikacyjne.

Ta trójka stanowi jądro historii i prowadzi nas przez fabułę będącą prawdziwym miksem gatunkowym. Mamy tu więc typową space operę. I western. I komedię retro. I serial typu „my kumple gliniarze”. I film noir, ze snującym się dymem papierosowym, zapachem whisky i klasycznymi scenami z Casablanki typu: „z wszystkich barów we wszystkich miastach na całym świecie ona musiała wejść do mojego”. Tylko tutaj mamy to w wersji międzyplanetarnej. Cały ten misz-masz jest miejscami absurdalnie przerysowany na granicy estetyki kampu i okraszony klasyczny-

mi jazzowymi kompozycjami Yoko Kanno i zespołu Seatbelts ze wspomnianego oryginału z 1998 roku. Co wywołało we mnie prawdziwą ekstazę i na start dodało serialowi ze dwie gwiazdki. Ale miałam unikać porównań...

To teraz kilka słów o obsadzie. Nie śledziłam zapowiedzi, nie ekscytowałam się doбором aktorów, poszłam na żywioł, widząc wcześniej wyłącznie reklamujący serial plakat. I jak większość aktorskich adaptacji anime woła o pomoc do nieba i rodzi pytania o to, gdzie twórcy mieli oczy, to trzeba przyznać, że casting do CB okazał się wyjątkowo udany (nie mówimy o Vi-

ciusie, nie, nie). Przede wszystkim zostali dobrani aktorzy, którzy naprawdę poczuli ze sobą chemię, a koleżeńskie scenki między Johnem Cho, Mustafą Shakirem i Daniellą Pinedą (odpowiednio Spike, Jet i Faye) to prawdziwie humorystyczne, a czasami wzruszające doznania. Klótnia o wyższości kąpieli typu prysznic-wanna-prysznic nad innymi formami ablucji przechodzi do historii kinematografii. Ciekawą postacią okazuje się też kobieta z przeszłości, piękna Julia, grana przez Elenę Satine, która – wracam do oryginału – irytowała mnie zawsze niezmiennie i w wersji netfliksowej idealnie tę irytację przedłużyła, ale na koniec wywinęła takiego plotu twista, że autentycznie zaczęłam ją doceniać, choć została zdegradowana z zabójczyni do piosenkareczki. Co, jak się okazuje, wyszło jej na zdrowie. Z ważniejszych postaci jest jeszcze Vicious – psychicznie niestabilny członek międzyplanetarnej mafii, kryjący się pod nazwą Syndykatu – o wyjątkowo złe dobranej peruce i jeszcze gorzej wykreowanej roli. Jeśli miałabym wymienić jedną rzecz, która zabiła ten serial, to jest to właśnie Vicious, a to była w anime tak pięknie zła postać! Więc... cóż, nie mówimy o Viciusie, nie, nie. Będę po prostu udawała, że go nie ma. Już lepiej wypadł Ein, rozkoszny corgi, który ma zupełnie inną funkcję niż w oryginale, ale i tak jest z nim mnóstwo zabawy.

O ścieżce dźwiękowej już wspominałam, ale uważam, że zasługuje na osobny akapit, chociażby króciutki. Muzyka jest genialna. Genialna. Zaczynając od openingu, żywemu skopiowanego z oryginału, tylko w wersji aktorskiej, z porywającym „Tank!”, kończąc na poruszającej „Julia’s Song” w wykonaniu Eleny Satine. Mamy tu wszystko, jazz, blues, funk wysokie tony harmonijki i dudniące tętno wiolonczeli, świetne wokale i pełnokrwisty rytm, a wszystko to dopasowa-

ne do już i tak zakręconego jak DNA serialu. Może odrobinę zabrakło mi nadającej klimat „Ave Marii” w wykonaniu Jerzego Knetiga ze sceny w katedrze, ale za to Pierrot Le Fou – jeden z pomniejszych antagonistów – cytujący po francusku Rutgera Hauera z „Łowcy Androidów” zapełnił mi tę lukę w zupełności. Bo „Cowboy Bebop” to też serial pełen niezwykłych popkulturowych nawiązań – tak było z oryginałem i twórcy postanowili wykorzystać ten fakt i podążać drogą japońskich poprzedników. Droga miecza okazała się jak najbardziej słuszną, bo serial jest niezwykle przyjemny w odbiorze, choć z pewnością dla wielu okaże się zbyt dziwaczny, ale taki już jego urok. Sceny walki są świetne choreograficznie, jednocześnie szybkie i pełne akcji ale też okraszone sporą dawką humoru, a to wbrew pozorom nie jest łatwe połączenie. Efekty specjalnie nie męczą, CGI jest tyle, ile powinno być.

I, tak, po serialu adaptującym dzieło genialne, z takim budżetem, można spodziewać się więcej, ale po co w ogóle się czegośkolwiek spodziewać, jak można otworzyć się na nowe z myślą, że ten tytuł żyje i zmierza ku nowemu odbiorcy? Nie każdy lubi komiks japoński i wersja aktorska – która miejscami zrobiona jest lustrzanie do odcinków w anime, a miejscami wchodzi na zupełnie nowe tory – pozwala poczuć to retro, ten funk. I może zachęcić do sięgnięcia po oryginał. Netfliksowy Bebop nie jest długi – ma tylko dziesięć odcinków – i wygląda na to, że więcej mieć nie będzie, bo ludzie w zarządzie nie wyglądają sobie kija z miejsca, gdzie znajduje się kosmiczna czarna dziura. Fother Muckers!* A szkoda, bo ta wersja, choć z pewnymi mankamentami i tym okropnym, naprawdę beznadziejnym Viciousem, miała spory potencjał. Miałam nadzieję, że w drugim sezonie pojawią się też kolejne odcinki z grubsza wzięte z oryginału i załoga Bebopa będzie musiała walczyć z okrutnie przeterminowanym potworem z zamrażarki. No ale przecież lepiej zrobić kolejny film na podstawie twórczości Blanki Lipińskiej, prawda? W ogóle w porównaniu z innymi produkcjami Netflixu „Cowboy Bebop” wypada na-



prawdę przyzwyczajenie i szkoda, że złe oceny wystawione – jak przypuszczam – przez fanatyków oryginału zabiły ten tytuł w doku startowym. Tak więc do zobaczenia, kosmiczny kowboju. Ja bardzo chętnie wrócę do serialu i obejrzę go drugi raz. A potem sięgnę po raz kolejny po anime. Które ma 26 odcinków i film pełnometrażowy. Tak tylko mówię, gdybyście mieli kilka wolnych wieczorów i miejsce na kolejną serię do wielbienia **. Bo jeśli wsiedziecie na ten statek, to jego załoga zostanie już z wami na zawsze.

Anna Szumacher

* Jeden z utworów na ścieżce dźwiękowej do serialu, przysięgam. Znajdziecie go pod numerem 19.

** Polecam szczególnie wersję oryginalną z napisami.



ANI ŚMIESZNO, ANI STRASZNO

O „Krakowskich potworach” powiedziano już wiele, ale jeśli ominęła was cała ta histeria, bo spędzaliście długi urlop na przykład na Marsie, to kilka słów o Polskim Serialu Na Netfliksie. Nie, nie tym na podstawie powieści Katarzyny Bereniki Mischuk. Tym drugim, ze słowiańskimi potworami.

Krótką wersją wprowadzającą w fabułę brzmi: „Dreńczona przeszłością młoda kobieta dołącza do tajemniczego profesora i grupy utalentowanych studentów, którzy badają zjawiska paranormalne i walczą z demonami”. Wersja nieco rozbudowana: Ambitna studentka medycyny, na prestiżowym Collegium Medicum w Krakowie, biseksualna Alex (Barbara Liberek), uzależniona od wszystkiego co da się wciągnąć, wypić lub połknąć, trochę przypadkiem trafia do elitarniej grupy studentów skupionej wokół światowej sławy patologa - profesora Zawadzkiego (w tej roli Andrzej Chyra). Szybko jednak okazuje się, że grupa ta ani nie jest specjalnie elitarna, ani ambitna, za to na pewno dziwna, bo zajmuje się różnymi słowiańskimi demonami. Mamy więc bardzo fajny pomysł. Bardzo atrakcyjne miasto. I wyjątkowo popularną ostatnio mitologię. Co może pójść nie tak? Cóż, wiele rzeczy, ale...

...główną wadą „Krakowskich potworów” jest brak sensownego scenariusza i wiarygodnych postaci. Pierwszy odcinek zapowiada się jeszcze całkiem nieźle. Dru-

Ja kudłaty durnowaty...

gi leci siłą inercji, ale nadal się go ogląda, choć widz - w tym wypadku jesteśmy to niestety my - zaczyna mieć wrażenie, że ci ludzie nie ogarniają, jak działa ludzkość. Kontakty społeczne. Funkcja rozmowy i wymiany informacji. Ja wiem, że czasami są osoby, które nie przekazują nam pewnych danych. Z różnych względów. Nie chcą. Nie mogą. Ale tu nikt ze sobą nie rozmawia na żadne sensowne i ważne dla fabuły tematy. Gorzej, ma się wrażenie, że ta elitarna grupa nie ma bladego pojęcia co robi, a ich szef, Zawadzki, głównie zajmuje się sobą, je robaki albo znika, kiedy jest naprawdę potrzebny (typowy przykład z literatury YA, kiedy coś się wali, dorośli uciekają, a świat ma uratować banda nastolatków).

No i jest nasza główna bohaterka. Niby osoba inteligentna, jeśli dostała się na studia medyczne, ale w praktyce wychodzi, że ma ilość szarych komórek i umiejętność skupienia uwagi porównywalną do złotej rybki. Trzy sekundy, a potem robi coś niewyobrażalnie głupiego i nielogicznego. I tak przez pełne osiem odcinków. Widzę potwory? Whatever, idę na piwo. Trafiam na grupę ludzi, którzy mogą mi powiedzieć,



Morfeusz? Przecież zjadłam niebieską!



Jak witają się grzybiarze? - Tutaj nic nie ma!

co się dzieje? Nie zadaję żadnych pytań. Mam trzy głupie pomysły? Zrealizuję każdy z nich, choć może się on skończyć śmiercią moją, innych ludzi, ewentualnie końcem świata. Whateeva...

NETFLIX



Co ma wisieć... to one kozie death...

Trudno powiedzieć też cokolwiek więcej o innych bohaterach serialu, bo mają dwie cechy na krzyż, a i to przy dobrych wiatrach. Piszac recenzję nie jestem sobie nawet w stanie przypomnieć, ile ich było, poza tym, że jedna jest żywym plagiatem z „Labiryntu Fauna”. O imio-



Lepszy skrzypek na dachu niż garść na wróblu...

nach już nie wspominając. Jakies takie były... pseudoangielskie. A przecież jako główna supernaturalna drużyna powinni nas wciągnąć za sobą w sam środek grupy, w sam środek akcji. Tak się niestety nie dzieje. I to chyba jest główna wada tego serialu, bo w okolicy trzeciego odcinka doświadczamy już tzw. „second hand embarrassment” i jest nam zwyczajnie głupio w imieniu tych postaci za ich zachowanie. Czwarty odcinek ogląda się wyłącznie z powodu tłącej się nadziei, że jednak może coś, gdzieś... Pozostałe cztery obejrzałam wyłącznie po to, by móc napisać recenzję i jedyne co jestem w stanie powiedzieć o drugiej połowie serialu to to, że doświadczamy tam jeszcze większej liczby durnych wydarzeń, zażenowanie historii i bohaterami miejscami sięga zenitu, bohaterka okazuje się superbohaterką (byłby spoiler ale serio, kto się tego nie spodziewał?), a jednemu z członków drużyny należy się nagroda z buraka za najbardziej durną śmierć serialową 2022 roku. W konkursie ogólnym może wręcz zdetronizować Hankę Mostowiak z „M jak Miłość” (kojarzycie, Marku, Marku, nie masz żony, wpie****iła się w kartony...).

Druga rzecz, która naprawdę psuje przyjemność (miejscami wątpliwą) oglądania to coś, co w teorii miało być ścieżką dźwiękową, a przypominało raczej reklamę typu pop-up, która w najmniej odpowiednim momencie wyskakuje nam w jakiejś innej zakładce, wyje na pełen regulator i nie możemy tego diabelstwa wyłączyć. Tak, to chyba najlepszy opis podkładu muzycznego do „Krakowskich potworów”. I chyba szkoda na niego zużywać więcej znaków.

Uff, to jak już najgorsze mamy za sobą, to może jakieś plusy? Cóż, i one się znajdują. Wśród ogólnie drewnianego aktorstwa „Krakowskich potworów” wyróżnia się jedna osoba. Jest to Eryk Pratsko grający Chworza i przysięgam wam, że



Pyk, pyk. Jako tako i farant...



Wstawaj! Miał miejsce incydent kałowy!

czajnie nic zarzucić, a to naprawdę sporo. Inne zalety? Zawsze miło ogląda się Polskę na mniejszym lub większym ekranie, choć trzeba przyznać, że twórcy „Krakowskich potworów” musieli się bardzo postarać, żeby przedstawić tytułowe miasto w tak mało zachęcający sposób. Znaleźnienie tylu obscurnych bram i budynków też pewnie zajęło im trochę czasu. I tak naprawdę, poza tym, że Kraków sam w sobie jest dosyć historyczno-legendarny, nie pełni roli, której nie mogłoby pełnić inne miasto w tym kraju. Owszem, tak, ma wzgórze, ale bez specjalnych zmian w scenariuszu można by przenieść całą historię do Torunia. Albo Wrocławia. Albo Gniezna. Co trochę mnie rozczarowało, bo jak miały to być „Krakowskie potwory”, to tytuł obiecywał jednak nieco więcej. Żeby nie szukać daleko, o niebo lepiej podobny temat rozwinęła Magdalena Ku-



Gdybym tylko potrafiła czytać...

basiewicz w powieści „Spalić wiedźmę”. Rzeczywiście wykorzystuje tam motywy z krakowskich legend i wpisuje je w nowoczesność. Jest tam i smok wawelski, i czarnoksiężnik Twardowski, i diabeł z Krzysztofórow... Ale wróćmy do Netfliksa. No właśnie. Dobrze, że Netflix daje szansę polskim twórcom, choć można dyskutować nad poziomem co niektórych dzieł. Ale są też filmy i seriale z naszego kraju na całkiem znośnym poziomie, więc chwała im za to. Dlatego, mimo że ośmioodcinkowy serial o Alex i tych innych bezbarwnych ludziach do arcydzieł nie należy, warto mu kibicować choćby z tego powodu, że po nim mogą przyjść rzeczy lepsze. Aha. Tak. Prawdopodobnie będzie sezon drugi.

Anna Szumacher

INNE SPOJRZENIE NA CZŁOWIEKA NIETOPERZA

Anno Domini 1990, upalny dzień lata. W jednym z trzech znajdujących się na miejskim rynku kiosków z prasą i artykułami przymysłowymi mama kupuje synowi pierwszy w jego życiu komiks. Jest to „Batman” od kultowego dziś wydawnictwa TM-Semic, wydanie specjalne stanowiące komiksową adaptację pierwszego filmu Tima Burtona, a równocześnie obrazkowy debiut Człowieka Nietoperza w Polsce. Było to moje pierwsze zetknięcie z postacią wykreowaną przez Boba Kane’a i Billa Fingera.

Oczywiście nie byłem jedyny, ponieważ w tamtym okresie większość dzieciaków uczęszczających do szkoły podstawowej w podobny sposób zaczęła swoją przygodę z komiksami. Oferta tytułów od TM-Semic dosyć szybko zaczęła się rozrastać, jednakże przy-



gody obrońcy Gotham City były zawsze w moim Top 4, obok perypetii X-Menów, „G.I. Joe” i „Transformers”. Zaopatrywałem się w niemal każdy zeszyt, w tym słynne Knightfall (tak na marginesie, wznowione ostatnio w edycji kolekcjonerskiej przez wydawnictwo Egmont).

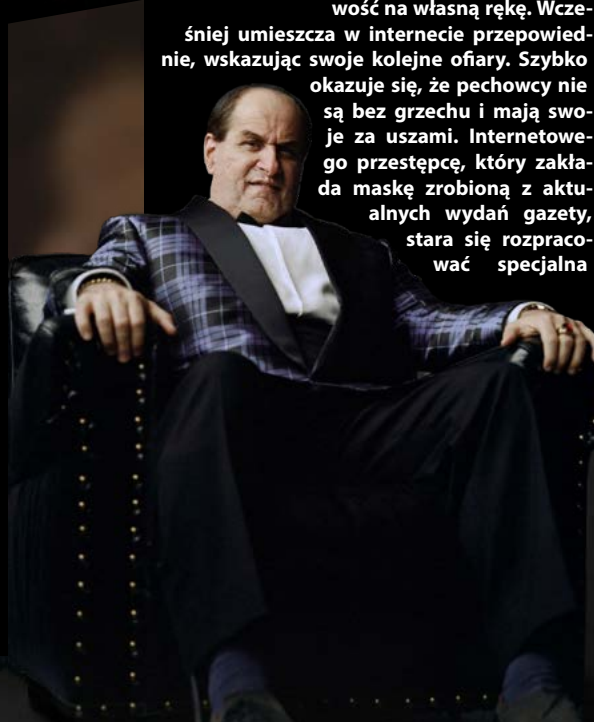
Po komiksach przyszła kolej na serial animowany, emitowany w piątki o piętnastej w bloku kreskówkowym przez drugi program państwowej telewizji, a także wielokrotne oglądanie ze znajomymi dwóch pierwszych filmów kinowych z Gackiem (były to filmy wypożyczone z osiedlowej wypożyczalni kaset wideo lub pirackie wersje kupione na miejskim bazarze). „Batman” i „Powrót Batmana” Tima Burtona dziś charakteryzują się mocno przerysowanym, wręcz kampowym charakterem, z kolei kontynuacje „Batman Forever” oraz „Batman i Robin” Joela Schumachera to filmowe maliny. Za najlepszą ekranizację do tej pory była uważana w miarę jeszcze świeża trylogia Christophera Nolana („Batman Początek”, „Mroczny Rycerz”, „Mroczny Rycerz Powstaje”) z niezapomnianą rolą niezującego już Heatha Ledgera jako Jokera. Fani zgodnie uważają, że to właśnie dzięki Nolanowi człowiek w przebraniu Nietoperza na stałe trafił do naszej szarej rzeczywistości. Taki był też zamiar reżysera, ponieważ takie podejście wpisywało się w powszechną modę na urealnianie superbohaterów, która trwa do dziś. Twórca słynnej trylogii nie zrezygnował jednak ze wszystkich elementów fantastycznych, bowiem Christian Bale w roli Batmana wyprawia w powietrzu niesamowite rzeczy.

Podobnie najnowszy Batman, wykreowany przez Matta Reevesa, jest społeczeństwu zdecydowanie bliższy od tego ze wcześniejszych obra-



zów. To bardziej ludzki superbohater w pelerynie. Robert Pattinson w stroju Batmana przed skoczeniem z dachu policyjnego wieżowca odczuwa przez chwilę zwykły ludzki lęk, waha się, pomimo że ma swoje batgadżety. Decyduje o tym również fakt, że w najnowszej ekranizacji Bruce Wayne dopiero rozpoczyna swoją karierę mściciela i obrońcy miasta, wydaje się być jeszcze nieopierzony w swoim działaniu i popełnia sporo błędów. Być może w kontynuacji, która zostanie nakręcona, bohater dojrzeje i stanie się bardziej „nolanowy”, więc skok z wysokości nie będzie wzbudzał w nim żadnych obaw. W każdym razie wydaje się, że Robert Pattinson w końcu zrzucił z siebie klątwę wampira Edwarda z popularnej swego czasu młodzieżowej sagi i teraz będzie kojarzony z człowiekiem w pelerynie Nietoperza.

Na polskim rynku na przełomie lat 2012/2013 miała miejsce premiera trzytomowej mangi „Prophecy” autorstwa Tetsuyi Tsutsui. W Tokio zamaskowany mściciel zaczyna wymerzać sprawiedliwość na własną rękę. Wcześniej umieszcza w internecie przepowiednie, wskazując swoje kolejne ofiary. Szybko okazuje się, że pechowcy nie są bez grzechu i mają swoje za uszami. Internetowego przestępcę, który zakłada maskę zrobioną z aktualnych wydań gazety, stara się rozpracować specjalna



grupa śledczych. Podobnie jest w nowym filmie Matta Reevesa, gdzie Paul Dano – grający głównego przeciwnika Nietoperza, Człowieka Zagadkę – nosi złowieszczą maskę. Wymierza on karę skorumpowanym i zepsutym politykom Gotham City, a na ogniu siedzą mu nie tylko organy ścigania, ale również Człowiek Nietoperz. Na miejscach makabrycznych zbrodni zamaskowany antagonistista pozostawia różne wskazówki dla głównego bohatera, wciągając go w swoją okrutną grę. Również przeciwnik Batmana wykorzystuje media społecznościowe dla osiągnięcia swoich celów, zaś jego psychopatyczne przemówienia to jeden z najbardziej przerażających i jednocześnie hipnotyzujących momentów filmu. „Prophecy” to niewątpliwie jedna z inspiracji reżysera. Możemy zauważyć też pewne podobieństwa fabularne ze słynnym thrillerem „Siedem” Davida Finchera czy znanym seryjnym mordercą Zodiakiem (zamaskowany czarny bohater).



Pomysł Matta Reevesa na fabułę nie jest więc oryginalny, ale dzięki osobliwej otoczce noir efekt końcowy jest niezwykle klimatyczny. To w tym filmie Batman powraca do korzeni, czyli do roli detektywa. Mieliliśmy „detective comics”, teraz mamy „detective movie”. Gdy protagonista wychodzi z cienia by złać chuliganów, na plecach można poczuć dreszcze. Pościg batmobilem to jeden z najlepiej nakręconych pościgów w historii kinematografii, widać w nim inspirację „Mad Maxem”. Zresztą, nowa bryka Batmana była projektowana na wzór słynnego Interceptora V8 Maxa Rockatanskiego. O świetnej grze aktorskiej Colina Farrelli w roli Pingwina i Zoe Kravitz jako Catwoman już nawet nie będę się rozpisywał, powiem tylko krótko – klasa światowa.

Niestety, w całej beczce miodu znajdzie się łyżka dziegciu. Gdyby cały film trwał troszeczkę krócej... W kinie trzy godziny szybko mijają, natomiast oglądając go drugi raz na małym ekranie możemy zacząć ziewać. „Batmana” Tima Burtona oglądałem kilkanaście razy jeszcze będąc w podstawówce, na-



tomiast do „Batmana” Matta Reevesa trzeci raz raczej nie wrócę. Nie oznacza to oczywiście, że najnowsza ekranizacja jest gorsza od pierwszej. Po prostu zmieniły się czasy i oczekiwania względem kina. Pojawia się tyle nowych filmów, że wracamy tylko do tych najukochańszych. Nowy Batman w moim prywatnym rankingu Top 4 do takich obrazów się nie zalicza, ale podczas pierwszego seansu bawiłem się przednio. Film przypadnie do gustu również tym, którzy niekoniecznie przepadają za kinem superbohaterów, bo to w dużej mierze bardziej mroczny kryminał niż czysta fantastyka.

▲ Paweł Koczułap

SZARAŃCZA I DINOZAURY

„Jurassic World: Dominion”

przygodowy/s-f

Od premiery pierwszego filmu o Parku Jurajskim minęło już prawie trzydzieści lat. W tym czasie zdążyła wyrosnąć całkiem spora rzesza fanów dinozaurów. Kolejne części filmu sprawiały, że co kilka lat mogliśmy z nostalgią przenosić się do świata, gdzie można spotkać te wymarłe zwierzęta. Gdy kilka tygodni temu ukazała się ostatnia, szósta część serii, fani znów ruszyli do kin, jednak to spotkanie nie okazało się rozczarowujące.

Mogliby się wydawać, że w Jurassic World: Dominion dinozaury są jeszcze bliżej nas, niż w poprzednich częściach cyklu. Biegają swobodnie po ziemi, żyją obok ludzi, poza nielicznymi gatunkami umieszczonymi w odległym rezerwacie w Dolomitach. Hadrozaury galopują przez stepy z dzikimi końmi, ceratopsy kroczą majestatycznie razem ze słoniami. Są też mniej po-

branej córki Maisie. Nie chcę zdradzać zbyt wiele, powiem tylko, że w ich części historii zobaczymy porwanie, pościgi, strzelaniny i katastrofę lotniczą. Oglądając te wątki, czujemy się jakbyśmy przyszli do kina na film akcji i ze zniecierpliwieniem pytamy (parafrazując Malcolma): Halo! Kiedy wreszcie wrócimy do dinozaurów?

Wiele wymarłych zwierząt spotykamy w drugiej części filmu, w której trafiamy do siedziby Biosyn w Dolomitach. Oprócz znanych gatunków twórcy filmu pokazują też nowe potwory, między innymi krwiożercze giganotozaura czy pyroraptora. W najbardziej emocjonującej scenie zobaczymy jednak terezi-nozaura: Claire, uciekając przed jego wielkimi pazurami, powoli zanurza się w sadzawce, a razem z nią wstrzymujemy oddech i my. To jeden z nielicznych trzymających w napięciu momentów, wpisujących się w najlepsze tradycje serii.



w którym dinozaury zostały zepchnięte na dalszy plan. Na osłodę wierni fani znajdą nawiązania do poprzednich części serii. Na przykład pojawi się dilofozaur z kołnierzem dookoła głowy, który paraliżuje jadem swoje ofiary (choć, jak wiedzą dinomaniacy, zwierzę tak nie wyglądało i tak nie atakowało). Dobrze zobaczyć też znane postaci: doktora Granta, doktor Sattler, filozofującego Malcolma. Mam jednak wrażenie, że kiedy policzymy wszystkich bohaterów Jurassic World: Dominion, zebranych ze wszystkich części cyklu, robi się ich za dużo. A wszyscy razem, tłumnie uciekający przed potworami, wyglądają trochę groteskowo.

Co pokazała nam finałowa odsłona Parku Jurajskiego? Moim zdaniem to, że dinozaury nie pasują do świata ludzi. Emocjonowały, gdy żyły w odcieciu od świata, na tajemniczej, odległej wyspie. Być może twórcy filmu celowo przenieśli środek ciężkości z wymarłych zwierząt na problemy współczesnego świata. Pokazując realne zagrożenie, może chcieli zwrócić naszą uwagę na konieczność troski o świat, który istnieje i który możemy ocalić. Ale wykorzystanie do tego celu kultowej serii o dinozaurach nie wydaje mi się najlepszym pomysłem.

Anna Szewczyk-Cywińska



Film rozczarowuje chyba najbardziej dlatego, że podczas seansu nie udaje się odnaleźć klimatu z poprzednich części filmu. Oczekiwaliśmy filmu science fiction z niebezpiecznymi i zachwycającymi zwierzętami w roli głównej, a mamy wrażenie, że oglądamy widowisko sensacyjne,



tywne obrazki, takie jak drapieżne welociraptory mieszkające w lesie, nieopodal ludzkich siedzib.

Tymczasem akcja filmu przekierowana zostaje na inne zwierzęta – szarańczę. Olbrzymie owady niszczą zbiory w Stanach Zjednoczonych. Paleontolodzy Ellie Sattler i Alan Grant oraz matematyk Ian Malcolm odkrywają, że za stworzenie szkodników odpowiada firma Biosyn, prowadząca badania oparte na modyfikacjach genetycznych. Oczywiście próbują przeciwstawić się korporacji. Tak oto biblijna plaga szarańczy i widmo głodu stają się głównym zagrożeniem, z którym walczą bohaterowie. Plus dla twórców za motyw proekologiczny, ale przez takie rozłożenie akcentów można powiedzieć, że szarańcza „wygryzła fabularnie” dinozaury.

Równolegle śledzimy losy tresaera welociraptorów Owena, jego partnerki Claire i przy-



SŁODKO-GORZKI WEHIKUŁ CZASU

Wspomnienia lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku u współczesnych czterdziestolatków potrafią przywołać ogromne pokłady nostalgii, przypomnieć beztroskie dzieciństwo na osiedlowych trzepakach, wizyty w wypożyczalniach kaset wideo, pierwszy zestaw klocków Lego zakupiony w Pewexie, ortalionowe dresy i szkolne dyskoteki. Film „Powrót do tamtych dni” pomimo sentymentalnej otoczki minionej epoki ma gorzki wydźwięk, dotyka w bezpośredni sposób bolesnego problemu alkoholizmu w rodzinie.



pojawia się wracający z amerykańskiej emigracji ojciec. Alek (w tej roli fenomenalny Maciej Stuhr) przywiezionymi z zagranicy prezentami obdarowuje żonę (m.in. nową sukienką) i syna (m.in. nowymi butami). W domu pojawia się również odtwarzacz wideo, a wraz z nim wspólne, rodzinne seanse. Niby wszystko fajnie, rodzinka w komplecie, wszyscy się cieszą a jednak widz podskórnie wyczuwa, że coś złego wiśnie w powietrzu. Demony przeszłości szybko dają o sobie znać.

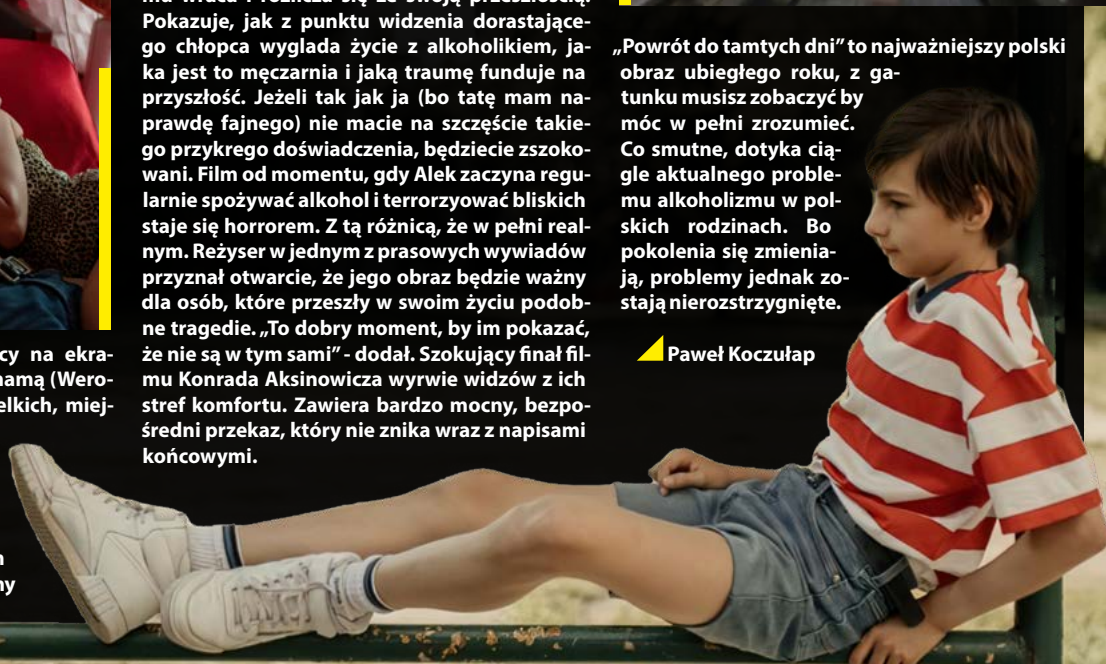
Reżyser i scenarzysta „Powrotu do tamtych dni”, Konrad Aksinowicz, za pośrednictwem filmu wraca i rozlicza się ze swoją przeszłością. Pokazuje, jak z punktu widzenia dorastającego chłopca wygląda życie z alkoholikiem, jaka jest to męczarnia i jaką traumę funduje na przyszłość. Jeżeli tak jak ja (bo tatę mam naprawdę fajnego) nie macie na szczęście takiego przykrego doświadczenia, będziecie zszokowani. Film od momentu, gdy Alek zaczyna regularnie spożywać alkohol i terroryzować bliskich staje się horrorem. Z tą różnicą, że w pełni realnym. Reżyser w jednym z prasowych wywiadów przyznał otwarcie, że jego obraz będzie ważny dla osób, które przeszły w swoim życiu podobne tragedie. „To dobry moment, by im pokazać, że nie są w tym sami” - dodał. Szokujący finał filmu Konrada Aksinowicza wyrwie widzów z ich stref komfortu. Zawiera bardzo mocny, bezpośredni przekaz, który nie znikną z napisami końcowymi.

Czternastoletni Tomek (debiutujący na ekranie Teodor Kozia) mieszka wraz z mamą (Weronika Książkiewicz) na jednym z wielkich, miejskich blokowisk. Chodzi do podstawówki, ma kolegów z którymi spędza wolny czas na dworze, przeżywa zauroczenie nową koleżanką z klasy. Taka tam codzienność nastolatka. Aż nagle, niczym grom z nieba, w życiu jego i mamy



„Powrót do tamtych dni” to najważniejszy polski obraz ubiegłego roku, z gatunku musisz zobaczyć by móc w pełni zrozumieć. Co smutne, dotyka ciągle aktualnego problemu alkoholizmu w polskich rodzinach. Bo pokolenia się zmieniają, problemy jednak zostają nierozstrzygnięte.

▲ Paweł Koczułap



KONIEC ŚWIATA Z PRZYMRUŻENIEM OKA

Gwiazdorska obsada – to pierwsze skojarzenie, które przychodzi na myśl, gdy słyszymy o filmie Nie patrz w górę. Zaangażowanie aktorów takich jak Meryl Streep, Leonardo di Caprio, Kate Blanchett czy Jennifer Lawrence to gwarancja, że zobaczymy kino na najwyższym poziomie. Oto wasi ulubieni aktorzy, tym razem w filmie komediowym o... końcu świata.

Studentka astronomii odkrywa, że w stronę Ziemi zmierza kometa, która unicestwi ludzkość. Razem ze swoim wykładowcą jedzie do Białego Domu, żeby przekazać kasandryczną nowinę rządzącej USA pani prezydent. Naukowcy czekają cały dzień na dywaniku, bo głowa państwa ma inne obowiązki. Gdy prezydent wreszcie ich przyjmuje, nie przejmuje się wstrząsającym odkryciem i zabrania rozpuszczać plotki. Naukowcy postanawiają więc ogłosić swoje odkrycie w telewizji. Trafiają do programu talk-show, na sam jego koniec, gdzieś za romansem jednej z gwiazdek muzyki pop. Oczywiście stają się obiektami żartów, ich informacja jest bagatelizowana.

pertem w każdym temacie. Znamy to przecież bardzo dobrze.

Film przedstawia mechanizmy działania rzeczywistości, które nie świadczą najlepiej o naszym społeczeństwie. Uczciwa studentka, która próbuje ostrzec świat przed nadciągającą zagładą zostaje wyśmiana i oczerniona w internecie. Uniwersytecki profesor, dzięki występowi w telewizji okrzyknięty „ciachem”, staje się ulubieńcem internautów – choć żadnego z nich nie interesuje informacja, którą naukowiec usiłuje przekazać. Prezydent USA nie przejmuje się zbliżającą się kometa, bo najważniejsze jest dla niej, aby dobrze wypaść w trwającej kampanii wyborczej. A gdy tęgie głowy proponują rozwiązanie wiszącego nad Ziemią problemu, na drodze ich planowi stają interesy miliarderów. Jak skończy się ta historia, czy ostatecznie dojdzie do katastrofy? Przekonajcie się sami. Pamiętajcie tylko, żeby koniecznie obejrzeć scenę po napisach końcowych.

Nie patrz w górę to satyra na nasze społeczeństwo, która w humorystycznej otoczce zadaje



trochę głębszych pytań. Film oczywiście wyolbrzymia i upraszcza typowe postawy współczesnych ludzi. Wydaje mi się, że przez to wpada w pułapkę wybranej konwencji, sam staje się powierzchniowy i uproszczony. Przez to nie traktujemy go zbyt serio, mimo że dostrzegamy problemy, który porusza.

Film jest całkiem przyjemną, rozrywkową propozycją na piątkowy wieczór. Przede wszystkim pozwala obejrzeć naszych ulubionych aktorów w rolach komediowych, co nie trafia się znowu tak często. A dodatkowo skłania do nieco bardziej krytycznego spojrzenia na nasze społeczeństwo.

▲ Anna Szewczyk-Cywińska



Wiadomość o komecie to pretekst, żeby pokazać, jak świat XXI wieku przyjmuje informacje. Neguje je, trywializuje, zmienia w memy. Informacja nie musi być rzetelna, musi być lekko podana. Naukowa prawda, potwierdzona danymi i badaniami, łatwo może zostać zakwestionowana. Każdy z nas ma przecież swoje zdanie i dzięki dostępowi do internetu szybko staje się eks-



PIĘKNA TOSKAŃSKA MASAKRA

Lato 1944 roku, mała miejscowość La Romola w Toskanii. Z lekcji historii doskonale wiemy, po której stronie w trakcie drugiej wojny światowej grały Włochy. Wcieliśmy się w młodą kobietę imieniem Martha, będącą córką wysoko postawionego niemieckiego generała. Daje nam to gwarancję względnego spokoju i bezpieczeństwa. W promieniach wakacyjnego słońca możemy wsiąść na rower i zwiedzić sielską okolicę, podziwiając piękne tokańskie krajobrazy. Diabeł jak zwykle tkwi w szczegółach, w tym konkretnym przypadku nie tak łatwych do wychwycenia.

Tak naprawdę nie jesteśmy Martha, pomimo że wszyscy tak sądzą. Martha nie żyje, została przez nas pewnego zamglonego dnia znaleziona martwa w pobliskim jeziorze. Niewyjaśniony impuls sprawił, że gdy nad ciałem zmarłej siostry pojawili się rodzice, weszliśmy w życie swojej siostry. Było to tym łatwiejsze, że już od dziecka nikt nigdy nie mógł nas odróżnić. To nie

jest spoiler, te sceny obserwujemy w prologu gry „Martha is Dead”. Właściwa rozgrywka zaczyna się gdy jesteśmy już nową Martha i trwają przygotowania do pogrzebu zmarłej bliźniaczki. Skrywając głęboko tajemnicę naszej prawdziwej tożsamości decydujemy się ustalić, jakie są prawdziwe przyczyny śmierci naszej ukochanej siostry.

Opowieść o siostrach bliźniaczek jest bardzo niejednoznaczna, już sama zamiana ról wydaje się być odrażająca i powoduje dyskomfort w naszej psychice, fabuła oferuje jednak znacznie więcej warstw. Poznajemy skomplikowane relacje poszczególnych członków rodziny, zaś przeszłość zdaje się

skrywać kolejne rodzinne sekrety. W tle rodzinnej tragedii toczy się wojna, z radiodbiorników i lokalnej prasy pobrzmiwają wieści z frontu, zaś w pobliskim lesie grasują niebezpieczne grupy partyzantów. Jest jeszcze legenda o Białej Damie, którą główna bohaterka była karmiona przez ciotkę w dzieciństwie i właśnie teraz ta legenda przybiera nad wyraz realnych kształtów.

Całości dopełnia ciekawa oprawa muzyczna i ultra realistyczna grafika na pecety i konsole nowej generacji. Jeżeli nie byliście nigdy w Toskanii to będziecie się tutaj czuć niczym na wycieczce. Pamiętajcie jednak należy, że mamy do czynienia nie z symula-



torem spacerowicza, lecz rasowym horrorem psychologicznym. Twórcy kilka razy podczas rozgrywki serwują graczom na tyle drastyczne sceny, że wersja na PlayStation została oceniona przez wydawcę, natomiast na sprzęcie Microsoftu bardziej wrażliwe osoby mogą pominąć kontrowersyjne obrazy. Zamiast tracić czas na seans kolejnego, zazwyczaj mocno przeciętnego horroru sygnowanego marką Netflix, lepiej zagrać w „Martha is Dead”. To historia o przejętej osobowości, posiadająca w pełni satysfakcjonujące i bardzo pouczające zakończenie.

► Paweł Koczułap

POPCORNER

Odwiedź nas!

www.popcorner.evilpixel.pl



GRY

DZIENNIK ŁOWCY OLBRZYMÓW

Z każdym kolejnym rokiem życia staję się bardziej wybredny w kwestii wyboru m.in. gier wideo. Największe szanse, żeby na dłużej zadowolić się na dysku twardym mojej konsoli mają tytuły z oryginalną fabułą i klimatem, których przejście zajmuje maksymalnie sześć godzin. Nie trzeba gospodarować na nie zbyt wiele cennego czasu, a poza tym nie zdążą się znudzić. Dlatego też na łamach magazynu możliwości przeczytać recenzje takich gier jak „Mosaic”, „198X” czy, w ostatnim numerze, „Mundaun”. Dziś na tapetę trafia kolejna niezwykła gra, o intrygującym tytule „Titan Chaser”.

Jaką tutaj mamy niezwykłą atmosferę! Gęstą niczym mgła spowijająca świat gry. Naszą bazą wypadową jest średniej klasy motel, a naszym narzędziem pracy muscile car z wielkim reflektorem na dachu. Profesja bohaterki, w którą przychodzi nam się wcielić, to polowanie na różnorakie olbrzymy (latające, chodzące, pływające), które z niewyjaśnionych przyczyn panoszą się po okolicy. Co noc wsiadamy do naszego auta i niczym Gieralt wyruszamy na szlak zlokalizować dane stworzenie oraz znaleźć sposób jak je przepełdzić. Świat sprawia wrażenie całkowicie wydłubionego, panuje lockdown, mieszkańcy siedzą odizolowani w domach

lub mieszkaniach. Jedyną osobą, którą możemy zobaczyć w grze jest recepcjonista w naszym motelu. Czy zakaz przebywania na dworze ma związek z pojawieniem się tytułowych tytanów, czy może chodzi o coś innego? Nie wiadomo, ponieważ narracja jest bardzo szczątkowa, więcej tu tajemnic i znaków zapytania niż odpowiedzi. Zaś im bliżej napisów końcowych, tym lepiej zaczynamy radzić sobie w tym świecie.

Atmosfera panująca w „Titan Chaser” może powodować u gracza głęboką immersję. Przynajmniej u mnie tak było, świat gry mnie wciągnął – przystępując każdej nocy do nietuzinkowej pracy tropiłem tytanów, czułem dreszczyk emocji. W sumie gra to cztery dni z życia łowcy, gdyż tyle misji na nas czeka, plus epilog i bonus. Zakończył jest kilka i zapewniam, że warto poznać wszystkie. Twórcą tej niezwykle klimatycznej historii jest ukraiński deweloper Stas Shostak, chylę przed nim czoło. A wy, drodzy gracze, wsiadajcie w muscile car i wyruszajcie na trasę. Nawet nie zauważyście momentu, gdy ta przygoda wciągnie was na amen.

► Paweł Koczułap

GAZ DO DECHY!

Pamiętacie kultowego Lotusa na Amigę albo OutRun? Ducha tych fantastycznie grywalnych ścigalek odnajdziecie w grze „Slipstream”, stworzonej przez pewnego zdolnego Brazylijczyka. Tytuł, który w tym roku zadebiutował na konsolach ma wszystkie niezbędne elementy, by wyzwoić w starszych wiekowo graczach nutkę nostalgii. Czy zatem pokolenie 2000+ powinno sobie grę odpuścić? W żadnym wypadku! To jedna z tych ścigalek, w której można się zatopić na wiele godzin. Pixelartowa oprawa graficzna i zręcznościowy model jazdy przywołują na myśl klasykę, lecz zostały lekko upgradowane zgodnie ze współczesnymi standardami. Nie tylko w ruchu gra zachwyca, deweloper postarał się

również o bogatą zawartość. Mamy do dyspozycji kilka trybów gry, bogaty wachlarz tras (jest miasto, morze i kaniony!), aut oraz zmienną pogodę. W tle przegrywa natomiast klimatyczna, elektroniczna muzyka. Poziom trudności rośnie stopniowo, adekwatnie do postępów gracza. Ta gra to fantastyczny hołd złożony osiem i szesnastobitowym wyścigom. Jeżeli chodzi o fun z rozgrywki to jest ogromny. Gram, gram i przestać nie mogę, ale w taki tytuł po prostu chce się grać. Świetna rozgrzewka przed premierą na polskim rynku kultowej samochodowej mangi „Initial D” autorstwa Shuichiego Shigeno.

► Paweł Koczułap

MAŁA WIELKA GRA

Luis Antonio dość długo tworzył grę „Twelve Minutes”. Przed premierą bardzo oszczędnie dzielił się szczegółami na temat fabuły, jak i mechaniki. Wiedzieliśmy jedynie, że będzie to thriller o mężczyźnie uwięzionym w pętli czasowej, który musi uratować swoją żonę przed mordercą. Ma na to tytułowe dwanaście minut.

Wracamy do domu po ciężkim dniu pracy, w progu mieszkania wita nas żona, która przygotowała uroczystą kolację z naszym ulubionym deserem. Jest ku temu okazja, bo nasza ukochana ma nam coś ważnego do przekazania. Idylle przerywa w pewnym momencie brutalne wtargnięcie do mieszkania łysego mężczyzny podającego się za policjanta. Obezwładnia on naszą żonę, oskarża ją o zabójstwo ojca i wypytuje o jakiś zegarek. Gdy próbujemy interweniować pozbawia nas życia, po czym wracamy do domu po ciężkim dniu pracy, w progu mieszkania wita nas żona... i tak zaczyna się nowa pętla, jednakże posiadamy nowe informacje z własnie skończonej pętli i możemy podjąć jakieś nowe działania, by rozwiązać tę dziwną sytuację.

Cała historia trzyma w napięciu, zachęca do kolejnej pętli i ma oczywiście drugie dno i kilka różnych zakończeń. Na

osobną uwagę zasługuje gwiazdorska obsada. Głosu naszemu bohaterowi użyczył James McAvoy, żonie Daisy Ridley, policjantowi zaś kapitalny Willem Defoe. Głos tego ostatniego Pana będzie snił się wam w nocy. Jego kwestie dialogowe, powtarzane dość często dzięki mechanice pętli, są bardzo wyraziste i dzięki temu zapadają głęboko w pamięć.

Tym co zaskoczyło mnie najbardziej w tej nietuzinkowej produkcji jest nieduże mieszkanie, w którym rozgrywa się każda pętla. Jeden pokój z aneksem kuchennym, sypialnia, łazienka z toaletą i szafa na ubrania. Tyle i aż tyle. Nawet nie zdajecie sobie sprawy, jakie możliwości drzemiały w tak małym metrażu. Żeby popchnąć fabułę do przodu to trzeba dobrze wysilać szare komórki, można też niestety utknąć w martwym punkcie. „Twelve Minutes” zasłuzenie określany jest w sieci najmniejszym sandboksem na świecie. Dla mnie to najciekawszy thriller z dosyć nietypową, ale oryginalną oprawą graficzną jaki trafił w ostatnim czasie na konsole i PC. Doceniony również nominacją dla najlepszej gry niezależnej podczas prestiżowej branżowej gali The Game Awards 2021.

► Paweł Koczułap

Roztoczańskie
MUZEUM



PRL

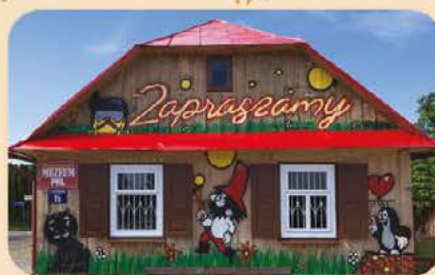
w Zamościu

8 GABINETÓW I 14 WYSTAW TEMATYCZNYCH!

ZWIEDZANIE Z AUDIOPRZEWODNIKIEM
– czyta Tomasz Knapik

OBYWATELE, ZAPRASZAMY!

**Najlepszy Produkt Turystyczny
Województwa Lubelskiego 2021**
(Nagroda Internautów)



ZAMOŚĆ, UL. WETERANÓW 6 (1,5 KM OD STARÓWKI)

517 787 627

www.ROZTOCZANSKIEMUZEUMPRL.pl

#kiedyśbyło

Odwiedź najbardziej nietypowe muzeum w lubelskim!

**UL. WETERANÓW
6**



MUZYKA



KONTEMPLACJA CZASU

Przywilejem redaktora naczelnego jest, że nie musi mieć niczyjej zgody, by pisać artykuły o tym, co kocha. Tym samym na nasze łamy powraca niemiecki zespół Rammstein. W premierowym numerze magazynu recenzowałem jego słynną płytę z zapalką na okładce, teraz biorę się za najnowszy krążek, zatytułowany „Zeit”. Jestem fanem grupy, więc jak się domyślicie, będę się zachwycał każdym nowym utworem.

Nowa płyta być może nie ma takiego rozmachu jak zapalka, nie znajdziecie tu szlagierów pokroju „Deutschland”, wypełnionego elektroniką „Radio”, czy popowych rytmów à la „Ausländer”. Oznacza to mniej eksperymentów muzycznych, gwarantuje natomiast więcej charakterystycznych rammsteinowych dźwięków. Jest stabilnie i dojrzałe, w końcu mamy do czynienia z doświadczonymi muzykami. Nowa płyta, jak każda poprzednia tego zespołu, ma syndrom jeszcze jednego razu.

Przechodząc do oceny dania głównego, którym są poszczególne utwory, uważam że trudno o lepszy wstęp do płyty niż „Armee der Tristen”. Kompozycja daje energetyzującego kopa, natomiast użyty w utworze syntezator stanowi świetne tło. Z kolei tytułowy „Zeit” to ballada o przemijaniu, składająca do zadumy nad życiem. Rammstein wydaje się serwować prawdę o jego sensie dosadniej aniżeli jakkolwiek religia. Obejrzyjcie teledysk, a uświadomicie sobie dogłębnie tak oczywi-

sty fakt, że czas nie stoi w miejscu. Trzeci utwór, zatytułowany „Giftig”, traktuje o braku stabilności związku. „Schwarz” charakteryzuje z kolei melodyjny refren, który będziecie zapewne nucić pod nosem. Tak docieramy do „Zick Zack”, do którego teledysk nakręcono w Polsce. Opowiada on o tragicznych skutkach operacji plastycznych, w myśl hasła „Schöner, größer, härter! Straffer, glatter, starker!”, czyli „Piękniej, kształtniej, twardziej! Ciaśniej, gładziej, jędrniej!”. To również najbardziej taneczny utwór z całej płyty. Tytuł kolejnego kawałka, „OK”, to skrót od ohne kondom. Utwór otwiera chóralny śpiew, czuć w nim jednak pewien muzyczny luz, podobnie jak w „Dicke Titten”, do którego należy podchodzić nieco z przymrużeniem oka. Dosłowne tłumaczenie tytułu piosenki to duże cycki, co zostało doskonale zobrazowane w teledysku ;) Na każdej płycie Rammsteina musi znaleźć się piękna ballada – w tym przypadku jest to „Meine Treuen”. Utwór wywołał u mnie przyjemne ciarki na plecach, podobne czułem przy wcześniejszych utworach zespołu, takich jak „Ohne Dich” (album Reise, Reise) i „Weit Weg” (album z zapalką). „Angst”, kolejna świetna kompozycja, zaczyna się mocnym gitarowym riffem. To pstryczek dla Europejczyków w temacie uchodźców, co widzimy w bardzo wymownym teledysku o budowaniu murów. Piosenka „Lügen” mówi o kłamstwach. Aby podkreślić wagę tematu, w pewnym momencie słyszymy głos Tilla Lindemana z autotune’a. Płytę kończy „Adieu”. Wielu sympatyków niemieckiego zespołu twierdzi, iż ten utwór, mówiący o umieraniu w samotności, stanowi symboliczne pożegnanie z fanami i koniec kariery grupy Rammstein. Czy tak się stanie? Jak zwykle zeit pokaże.



„Armee der Tristen”, „Zick Zack”, „Zeit” i „Adieu” mogliśmy usłyszeć na żywo podczas tegorocznego warszawskiego koncertu zespołu (16 lipca na Stadionie Narodowym). Było bardzo głośno i ogniste. Nikt nie robi tak widowiskowego muzycznego show jak niemiecki zespół. Przeżyście koncertu na żywo gwarantuje niezapomniane wspomnienia i uzależnia od Rammsteina.



Paweł Koczułap

MISTYCZNY PORNO-GASTRO Z XIX-WIECZNEJ PRAGI

Info: „Młyn do mumii” • autor: Petr Stančík • gatunek: kryminał • wydawca: Stara Szkoła (2016)

Do współczesnej literatury czeskiej zaliczamy przede wszystkim kryminał, powoli wdzierający się na polski rynek i stojący na wysokim poziomie. Do czytania książki Petra Stančíka „Młyn do mumii. Mistyczny porno-gastro thriller z XIX-wiecznej Pragi”, podszedłem z dużą ciekawością, ale i sporymi obawami. Początkowe wątpliwości były słuszne, ponieważ styl, język, dialogi czy akcja daleko odbiegają od typowego kryminału lub powieści sensacyjnej, co może zrazić wielbicieli klasyków. Jednak w trakcie czytania coraz bardziej przekonywałem się do bohatera i coraz bardziej byłem ciekaw jego dalszych perypetii, a pod koniec żałowałem, że to już koniec. Aby zachęcić do lektury rozłożę na czynniki pierwsze dość oryginalny tytuł i podtytuł powieści.

Mistyczny thriller. Głównym bohaterem powieści jest komisarz praskiej policji Leopold Durman. Towarzyszymy mu od Sylwestra przełomu lat 1865 i 1866. W Nowy Rok dochodzi do pierwszej „mistycznej” zbrodni – „ukamienowania” ubożego listonosza. Sposób prowadzenia śledztwa jest standardowy i przypomina współczesne metody. Jednak im dalej, tym bardziej dochodzenie staje się dziwne, ale i śmieszne. Szukając mordercy odwiedzamy z komisarzem owiane tajemnicą tabory cygańskie, uczymy się szukać seryjnych morderców w Paryżu, płyniemy do dalekiego Meksyku czy też rozmawiamy ze szcurem, gawronem i mandragorą.

Porno. Ilość opisów stosunków płciowych i burdeli odwiedzanych przez komisarza Durmana, wielkiego miłośnika wszystkich kobiet, spokojnie nadawałaby się na parogodzinny film pornograficzny. Ze względu jednak na styl książki (wzorowany na XIX-wiecznym języku) powoduje, że opisy o zabarwieniu erotycznym nie tyle gorszą, co śmieszą. Dodatkowo komisarz Durman ma wybrankę serca, Libuszkę Jedwabną, którą darzy wielkim uczuciem. Tylko często nie potrafi dochować wierności.

Gastro. Powieść posmakuje na pewno wielbicielom dawnych specjałów. Leopold Durman nigdy, nawet w krytycznych momentach, nie odmówi sobie przyjemności picia i jedzenia. A wśród potraw, które kosztuje, znajdują się m.in.: jako przystawka duszone jeże, na główne danie pieczona łapa

niedźwiedzia, a na deser szpikowe kwiaty. Wszystko oczywiście popijane dużą ilością piwa bądź innego trunku. Każda potrawa opisana jest w sposób zaczerpnięty z książki kucharskiej, momentami z najdrobniejszymi drobiazgami przyrządzania. Trzeba się przygotować, że podczas czytania albo zgłodniejemy, albo nie tkniemy jedzenia przez najbliższe dni.

Mistyczna XIX-wieczna Praga. Książka jest też nie lada gratką dla miłośników czeskiej Pragi. Jest w niej mnóstwo opisów zakątków, uliczek i miejsc czeskiej stolicy z połowy XIX w., które w wielu przypadkach się nie zachowały. Sporo jednak miejsc ma ciągle te same nazwy i znajduje się przy tych samych ulicach. Dodatkowo wśród bohaterów pojawiają się autentyczne postacie z epoki, np. poeta Jan Neruda czy cesarz Franciszek Józef. Czytanie książki można potraktować jako podróż w czasie do magicznej Pragi. Autor potrafił oddać ducha Josefova, czyli pełnej tajemnic żydowskiej dzielnicy, urokliwych zamkowych Hradczan oraz zakamarków Starego Miasta i Malej Strany.

Mistycyzm. Każdy, niezbyt długi rozdział rozpoczyna się cytatem z tajemniczej Ordo Novi Ordinis. Stwierdzenia dotyczą różnych dziedzin: od życia rodzinnego, spraw zawodowych po aktualną sytuację polityczną i międzynarodową. Przez całą powieść główkujemy, czym jest wspomniana łacińska nazwa. Zbiorem haseł z epoki? Wytycznymi dla tajnego zakonu tylko dla ściśle wtajemniczonych? Instrukcjami dla organizacji anarchistycznej? Poradami z książek dla idealnej pani domu? Wskazówka: odpowiedź nie należy do najłatwiejszych.

Młyn do mumii. Podczas spotkania z autorem, które odbyło się w Warszawie w połowie września 2017 roku, Petr Stančík wspominał, że podczas bardzo skrupulatnych przygotowań do pisania książki (podczas lektury widać, że autor niezwykle szczegółowo wczytał się w dokumenty źródłowe z epoki, sprawdzając nawet dane meteorologiczne) doszedł do pewnej uniwersalnej konkluzji. Połowa XIX w. to okres rewolucji przemysłowej, która miała olbrzymi wpływ na rozwój ludzkości. Miała też swoje negatywne konsekwencje. Są one związane m.in. z dziedzictwem kulturowym starożytnego Egiptu, którego symbol stanowią przede wszyst-



kim mumii. Zostały one brutalnie potraktowane przez Brytyjczyków. W jaki sposób i dlaczego stanowi to tytuł książki, od którego autor w ogóle rozpoczął pisanie? Odpowiedź znajduje się w ostatnim rozdziale.

Aby znaleźć odpowiedź na fundamentalne pytania, kto jest mordercą i dlaczego zabija, należy uzbroić się w cierpliwość. Rozwiązanie zagadki nie należy do typowych, ale dochodząc do ostatecznego wyniku staniemy się bogatsi o wiedzę na temat realiów XIX-wiecznych Austro-Węgier, pełni smaków z epoki oraz ogarnięci magią wydarzeń.

Zachętą do przeczytania powieści niech będzie wreszcie jej docenienie przez krytyków: w 2012 roku książka otrzymała najważniejszą i najbardziej prestiżową czeską nagrodą literacką MAGNESIA LITERA w kategorii proza.

Kamil Rodzik

„W pożyczonym czasie”
najnowsza powieść
Anny Szumacher, autorki
„Słowodzicielki”
JUŻ W SPRZEDAŻY!



STWORZENIE KONTRA STWÓRCA

Info: Trylogia „Wojny alchemiczne” • autor: Ian Tregillis • gatunek: fantastyka • wydawca: Sine Qua Non (2016-2017)

Oczekiwanie na kolejny tom ulubionej serii potrafi być bardzo irytujące, wiedząc o tym do brze fani Gry o tron albo Luny. Między innymi dlatego sięgnęłam po Wojny Alchemiczne – trylogię, która została już zamknięta, a wszystkie tomy wydane w Polsce. Jest to niewątpliwie zaleta serii, a czy znajdują się także inne plusy?

W 1926 roku Niderlandy władają imperium obejmującym Europę i Nowy Świat. Zbudowały je dzięki mechanicznym – zaawansowanym technicznie maszynom z metalu, miedzi i stali, stworzonym przez najlepszych zegarmistrzów. Mechaniczni to niepokonane armie, strażnicy-centaury albo po prostu oddani służący. Każdemu z nich narzucona jest geas – bezwzględna presja posłuszeństwa, przymus wypełniania woli pana. Sprzeciw wobec woli właściciela albo tylko odwlekanie wypełnienia rozkazu, powoduje u robotów koszmarny ból.

Antagonistami Holendrów są Francuzi, którzy (pokonani przez mechaniczne armie) schronili się na skrawku ziemi w Ameryce Północnej. Katolicka Francja utrzymuje, że chce wyzwolenia mechanicznych, przypisując im rozum i wolną wolę, jednak tak naprawdę pobudki religijne i humanistyczne nie mają znaczenia... Berenice, szefowa francuskich szpiegów, chce przeprogramować maszyny tak, aby przeszły na rozkazy Francji. Jeden z jej holenderskich agentów, pastor Visser, odkrywa tajemniczy mechanizm, który być może przyczyni się do odkrycia sekretu podporządkowania robotów. A jeszcze więcej zamieszania nieoczekiwanie wprowadza mechaniczny służący, Jax, który pokonuje geas i ucieka od swoich właścicieli. Wkrótce kruchy pokój między Francją a Niderlandami zostaje wystawiony na próbę.

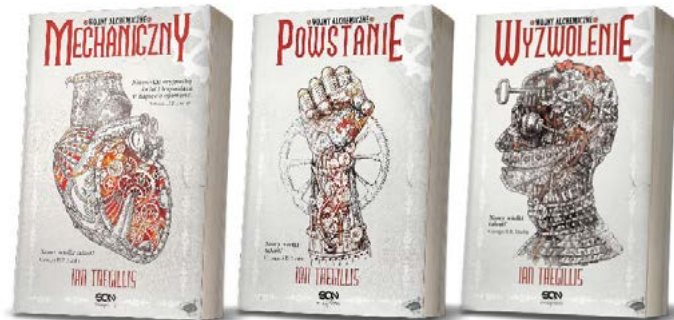
Ludzie w Wojnach Alchemicznych są bogami na wzór Boga deistycznego – zegarmistrza, który stworzył mechanizm świata i od tego czasu nie ingeruje w jego losy. Ludzie stworzyli roboty i nie troszczą się o nie, traktując czysto użytkowo, jak przedmioty. Nawet nie wyobrażają sobie, że ich służący mogą cierpieć albo mieć własny język. Czasem tylko prowadzą dysputy o tożsamości maszyn i zastanawiają się, czy są one czymś więcej niż tylko zaawansowanymi zegarkami. Z kolei roboty w którymś momencie uświadamiają sobie, że stworzyli ich okłamują. Trylogia to kolejny tytuł poruszający temat wolnej woli, pokazujący bardzo wyraźnie jej ciemną stronę. Wolna wola okazuje się w pierwszej chwili brakiem nakazów i wielką pustką, następnie samowolą, a w rezultacie przyczyną bezmyślnej zemsty i wojny. Seria oferuje więc trochę ciekawych, refleksyjnych spostrzeżeń.

W świecie Tregillisa nauka skoncentrowała się na rozwijaniu mechanicznych (Holandia) i broni chemicznych przeciw mechanicznym (Francja), pomijając właściwie inne dziedziny wiedzy. Taki obrót historii trochę dziwi, bo przecież w XX wieku, który zna-

my, jeździły samochody, latały samoloty, a tutaj mamy gołębie pocztowe jako środek komunikacji oraz francuskie krynoliny. Ale taki jest przywilej historii alternatywnych. To, co bardziej rozczarowuje w serii, to „przeciągająca się” momentami powtarzalna fabuła, z mniej interesującymi wątkami (Nibylandia Zagubionych Chłopców). Także kreacja głównych „ludzkich” bohaterów pozostawia wiele do życzenia. Są często przerysowani, wręcz karykaturalni, niestety żadnego z nich szczerze nie polubiłam.

Myślę jednak, że seria sprawdziłaby się bardzo dobrze jako podstawa scenariusza serialu, który wykrzystałoby to, co najlepsze w książce i poprawił niektóre niedociągnięcia. W trzech tomach znajdziemy sporo akcji, a oprócz tego walki robotów i spektakularne bitwy. Postaci bohaterów, przy odpowiednim ich poprowadzeniu (i nieprzerysowaniu), wypadłyby bardzo nieszablonowo. Największym atutem serialu byłoby oczywiście mechaniczni – śmiercionośne maszyny obdarzone nadludzką siłą, walczące o swoją wolność. Może pomyśli o tym Netflix albo HBO?

Anna Szewczyk-Cywińska



KOMISARZ KRUK POWRACA

Info: „Kruk” (słuchowisko) • gatunek: kryminał • wydawca: Storytel (2021)



Podlasie, region, którego mieszkańcy żyją otoczeni przez lasy i bagna, a ludowe wierzenia są ciągle żywe, to idealne miejsce na lokalizację kryminału. To tu spotykamy znów komisarza Adama Kruka,

znanego z dwóch sezonów serialu Canal+. Jeśli nie oglądaliście tej serii, nie martwcie się – spokojnie możecie sięgnąć po słuchowisko, z łatwością (i niemalą przyjemnością) odnajdziecie się w jego fabule.

Tym razem historia zaczyna się od żony Adama, Anny. Pewnego zimowego dnia na jednej z podlaskich dróg Anna zauważa nastoletnią dziewczynę z odciętą dłonią. Zawozi ranną do szpitala i obiecuje, że odnajdzie braciszka dziewczyny. Oczywiście prosi o pomoc męża, komisarza Kruka, który przyjeżdża na Podlasie z Łodzi. Sprawa okazuje się dość zmagmatowana, gdyż mieszkańcy, chociaż gościnni, niechętnie wtajemniczają obcych w sekrety swojej społeczności. Komisarz przemierza ośnieżone łąki i lasy, aby rozwiązać zagadkę. Na swojej drodze spotyka szepuchę, która odprawia jeden ze swoich magicznych rytuałów oraz usiłuje dowiedzieć się kim są zagadkowi Śpiewający, których pieśni słychać w okolicy.

Słuchowisko zostało świetnie zrealizowane. Efekty dźwiękowe, podkład muzyczny i wykorzystanie mu-

zyki chóralnej i folkowej idealnie oddają klimat zimowego Podlasia. Zanurzamy się w nim z przyjemnością, powoli wchodząc w zaśnięzony świat. Pomaga nam w tym przekonująca interpretacja narratora oraz aktorów, którzy użyczają głosów bohaterom, na czele z Michałem Żurawskim, wcielającym się w postać komisarza Kruka.

Sama zagadka kryminalna jest w moim odczuciu słabszą częścią produkcji. Wykorzystanie motywów religijnych do popełnienia zbrodni jest już niemal kliszą. Bo ile to już razy spotykaliśmy się z kryminałami, gdzie przestępstwa są zainspirowane Biblią, a najgorszymi łotrami są najgorliwsi wierzący, ci z pierwszych ławek w kościele.

Słuchowisko dostępne jest w aplikacji Storytel. Całość trwa niecałe cztery godziny. Naprawdę warto znaleźć wolną chwilę i przenieść się na magiczne Podlasie.

Anna Szewczyk-Cywińska



ROMANS W SALONIE GIER

„Hi Score Girl” | romans | liczba odcinków: 24 (2 sezony) | Netflix

Latem 1972 roku dwójka przyjaciół Nolan Bushnell i Ted Dabney przekonali właściciela małego baru w Sunnyvale, że warto postawić u niego automat gier video z prostą symulacją tenisa. Zaciekawieni nową formą rozrywki stali bywalcy lokalu szybko ją polubili, nie szczędząc przy tym kolejnych ćwierćdolarówek, które wpadały do kieszeni właścicieli automatu. Tym samym Pong stał się pierwszą grą, która odniosła komercyjny sukces, co pomogło firmie Atari rozwinąć skrzydła. Od tego czasu gry video rozwijają się z prędkością nieznaną innym dziedzinom sztuki.



Dwadzieścia lat później w Japonii automaty stają się codziennością. Wielu właścicieli małych sklepów stawia je przed drzwiami, aby zachęcić młodzież do wydania kilku jenów na kolejną grę. Nikogo nie dziwi też wyspecjalizowane lokale z niezliczoną ilością automatów, przed którymi ustawiają się kolejki spragnionych emocji graczy. W tym świecie wychowuje się Haruo Yaguchi, gimnazjalista, który zamiast ślezc nad książkami woli szlifować swoje umiejętności w Street Fighter 2. Nic więc dziwnego, że jest ich tak pewien. Jednak jak mawiał stary mistrz jedi: „zawsze znajdzie się większa ryba”. Nasz

28 POPCORN

bohater uzmysławia sobie to w momencie, gdy dostaje srogi łomot w swoją ulubioną grę. Jego pogromcą okazała się jego klasowa koleżanka, Akira Ono.

Tak rozpoczyna się historia, w której wraz z bohaterami będziemy świadkami rozwoju gier elektronicznych na przełomie lat 80 i 90 XX wieku. Oczywiście ogarnięcie całości tematu w kilku odcinkach jest karkołomnym wyzwaniem, zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę, że Hi Score Girl jest serialem fabularnym, a nie dokumentalnym. Co więcej, gdyby bohaterowie grali we wszystko jak leci, trudno byłoby uwierzyć, że poza salonem gier wykonują oni jakiegokolwiek inne formy aktywności takie jak spanie czy jedzenie. Tak więc na ekranie przyjrzymy się głównie rozwojowi bijatyk na przykładzie Street Fightera. Przynam szczerze, że oglądając kolejne odcinki byłem coraz bardziej zawiedziony. Kolejne tytuły (poza nielicznymi wyjątkami) są przedstawiane na zasadzie wylizanki. Poznajemy ich nazwy, ale poza tym nie dowiadujemy się o nich niczego innego. Nie wiemy, o czym one są, jaki jest cel rozgrywki, ani nawet czy miały one jakikolwiek wpływ na dalszy rozwój branży. Na te pytania nie znajdziemy w tej serii odpowiedzi, a szkoda, bo osoba kompletnie nie zaznajomiona z tematem podczas całego seansu będzie miała wrażenie, że coś ją omija. Kto wie, być może gdyby zaprezentowano szerzej kilka tytułów, zainteresowałyby one widzów, a ci wciągnęliby się w elektroniczną rozrywkę w stylu retro.

O czym jest więc ten tytuł, jeżeli nie o grach? Tak naprawdę Hi Score Girl opowiada o rodzajem się uczuciu pomiędzy dwójgim ludzi o tych samych zainteresowaniach. Początkowo zwiedzają oni kolejne salony gier i przesiadują przed automatami. Przynam, że jest to najgorsza część serii. Epizodyczność zabija tę historię. Kolejne odcinki



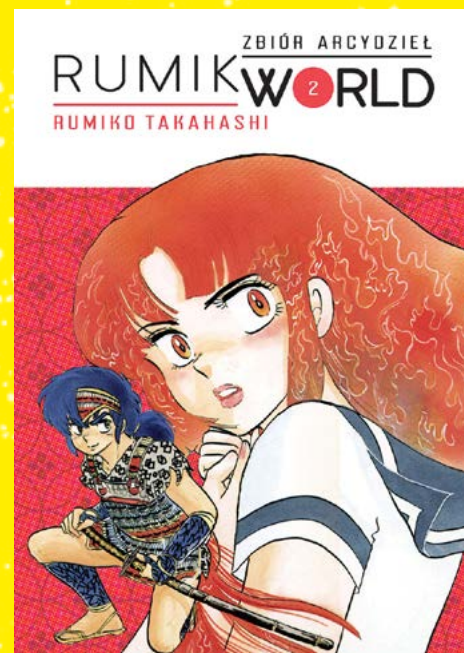
są nudne jak flaki z olejem. Na szczęście wszystko zmienia się w czwartym odcinku, gdy na scenę wkracza Koharu Hidaka, dziewczyna, która absolutnie nie rozumie, jak Haruo może spędzać tyle czasu grając w gry. Nie wykorzystuje ona jednak tego faktu do naśmiewania się z naszego bohatera, ale postanawia poznać środowisko graczy i sprawdzić, czy i ją może porwać magia elektronicznej rozrywki. W tym momencie zaczynają też być rozwijane kolejne wątki, a same gry schodzą na dalszy plan. Na szczęście wątek ich rozwoju nigdy nie zostaje porzucony. Niemniej to właśnie w tym momencie serial zaczął mnie wciągać i nie odpuścił do ostatniego odcinka.

Hi Score Girl jest serią, jakich wiele już widzieliście w swoim życiu. Gry, które miały być motywem przewodnim, są jedynie tłem dla historii będącej próbą odpowiedzi na pytanie, jak wiele człowiek jest w stanie poświęcić, aby osiągnąć swój cel. Czy będzie on potrafił przebudować swój system wartości, jeżeli uzna to za konieczne? Czy też zostanie konsekwentny i bez względu na wszystko będzie dążył do obranego wcześniej celu? Z tymi pytaniami zmierzy się każdy z bohaterów Hi Score Girl.

Jarosław Przewoźniak



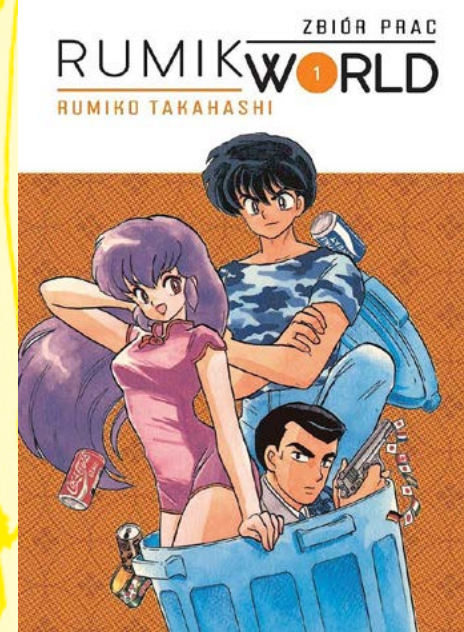
KLASYKA ZE ŚMIETNIKA?



Kosmitki w pasiastym bikini, syreny i psie demony, mistrzowie sztuk walki, którzy pod wpływem kontaktu z wodą zmieniają pleć albo przynależność gatunkową... Imaginarium Rumiko Takahashi jest dobrze znane wielbicielom mang, zwłaszcza w pokoleniu wychowanym na „Kawaii”. Dwie z jej najpopularniejszych serii były wydawane przez Egmont od 2004 roku, ale ta przygoda skończyła się dla wydawcy, i dla odbiorców sporym rozczarowaniem. Wiadomość, że J.P.F. przygotowuje nową edycję „Ranmy ½” i „Inuyashy”, ucieszyła chyba wszystkich – w starszych mągożecach obudziła nostalgię, w młodszych ciekawość. Obok wymienionych tytułów pojawił się jeszcze jeden – „Rumik Word”, dwutomowa antologia zapowiadana jako zbiór arcydzieł autorki. Na circa sześciuset stronach – bo mowa o grubych tomikach zbiorczych – J.P.F. zaprezentował jedną miniserię oraz czternaście oneshotów tworzonych przez Takahashi od 1978 do 1984 roku. Nobliwe klasyki? Niekoniecznie, bo ta płodna artystka zasłynęła wieloma innymi tytułami. Nowe spojrzenie na twórczość mangaczki? Raczej ciekawa kopalnia tropów, które pojawiają się w jej późniejszych pracach. Zbiór arcydzieł? Bynajmniej.

Zaproponowana przez J.P.F. kolekcja niewątpliwie ucieszy sympatyków Rumiko Takahashi, do których zresztą sama się zaliczam. Nie jest jednak ani dobrym sposobem na zawieranie znajomości z tą autorką, ani najlepszym przykładem jej talentu. Pierwszy tomik, w całości wypełniony historyjkami humorystycznymi, ma swoje bardzo udane momenty, ale chyba tylko „Dust Spurt” na dłużej zapada w pamięć. Przygody dwójki es-perów – ona jest nadludzko silna, on potrafi się teleportować wszędzie tam, gdzie mamy śmieci – udowadniają, że w tych purnonsensownych fabułach pełnych życzliwego spojrzenia na ludzkie słabości najważniejsi są jednak bohaterowie.

Poczułam to wyraźnie, gdy czytałam pierwszy tom „Rumik World” razem z premierowym tomem „Ranmy”, „Ranme” znalazłam z wydania Egmontu, dość dobrze pamiętałam wszystkie najważniejsze zwroty fabularne i byłam pewna, że trochę się jednak wynudzę. Z kolei „Rumik World” było dla mnie terra incognita, zakładałam więc, że pochłonę te trzysta stron z wypiekami na twarzy. Czas pokazał, że było zupełnie na odwrót – to przy „Ranmie” bawiłam się świetnie, a nad „Rumik World” głównie ziewałam. Drugi tom, kupiony bardziej z poczucia obowiązku i w nadziei, że w ten sposób głoszę portfelem na „Mermaid Sage”, okazał się ciekawszy, bo poza humoreskami zawierał też historie z pogranicza horroru, legend i opowieści o zjawiskach paranormalnych. Nie zrozumcie mnie źle – humor to najpotężniejsza broń w arsenale Rumiko Takahashi. Ale bez osadzenia w szerszym kontekście fabularnym, bez postaci, którym kibicujemy i których rozwój (albo ośli upór) obserwujemy, staje się on pustym śmiechem. No niby fajnie, ale po co? Może nie czułam tego zażenowania, jakie towarzyszyło mi przy lekturze „Fusuke”, niekoniecznie najpotrzebniejszego przyczynku do portretu Tezuki, ale więcej frajdy sprawiały mi podobieństwa z innymi (i mówiąc wprost – lepszymi) pracami artystki,



rozsiiane tu i ówdzie nawiązania do zaczynającego powstawać w 1978 roku „Urusei Yatsura” czy wątki, które autorka rozwinie w „Inuyashy”, „Rumik World” to także pewna wizja świata, w którym wszyscy, nawet kosmici, jesteśmy tylko ludźmi, w którym motywacje superbohaterów i arcyłotrów mogą być zaskakująco podobne, w którym rzadko jest miejsce na patos i heroizm, ale zwykle znajdzie się go wystarczająco dużo na zwykłą przyzwoitość – a to u Takahashi cenę. Podobają mi się też jej charakterne postacie kobiece i dynamiczna kreska, ale gdzieś w tyle głowy miałam ten „zbiór arcydzieł” i uczniów z „Ferdynurke”, których Słowacki, o dziwo,

nie zachwyca. Nie róbmy Słowackiego z teleportacji do śmietnika. Rumiko nie zasługuje na taki smutny los. Słowacki (ten prawdziwy i wszechstronny) również nie zasługuje na doklejoną mu gębę, ale to już inna historia...



A skoro wywołałam wieszczka z lasu, to warto przyjrzeć się, jak wygląda język w „Rumik World”. Zasadniczo dobrze, niekiedy nawet bardzo dobrze. Dialogi i elementy tła stają się dodatkowym źródłem humoru – grzech nie docenić tekstu „A więc nie żądam, lecz chęć pieniędzy”, „Do wora i do jeziora!” czy nawet „Funky Kovala” czytanego przez jednego z bohaterów (i absolutnie nie szkodzi, że w historyjce z 1982 roku nie pojawiał się polski tytuł wydany 5 lat później, taka inwencja znakomicie oddaje ducha dzieła). Tłumaczce, Uli Knap z Laboratorium Językowego KOTOKEN, a także redakcji należą się duże brawa. Niestety nie mogę nie odnotować kilku korektorskich wpadek (np. „Gdzie idziesz?” zamiast „dokąd” czy „Jestem kosmitą” zamiast „kosmitką” w ustach postaci o ewidentnych cechach kobiecych), ale zdaje sobie sprawę, że mógł zawinąć pośpiech. Znam światek wydawniczy na tyle, by zareczyć Wam, że wywalczenie w dobie pandemii twardych okładek dla tytułów to naprawdę nie lada przedsięwzięcie obciążone katorzniczymi terminami, a odkąd J.P.F. pakuje swoje tytuły w kartonowe pudełka i rogi się nie zaginają, to taka kolekcja naprawdę ładnie wygląda na półce. Kolorowe strony i elegancko opracowane okładki również przemawiają na korzyść edycji J.P.F-u, choć włosy Suzu z drugiego tomu niefortunnie zlewają się z tłem. Jak widzicie, żadnych poważnych przeciwskazań nie znajduję, ale tylko dla największych wielbicieli Takahashi będzie to lektura obowiązkowa.

Vanitachi

Liczba tomów: 2 (J.P.F. 2021)

POPCORNER 29



UŚPIONA BESTIA

„Dota 2” wydana przez Valve jest obecnie jedną z najpopularniejszych gier multiplayerowych na growym rynku. Przyznam szczerze, że jestem już takim dinozaurem, że nie porwał mnie jej fenomen. Tęskniąc jednak za porządnym animowanym fantasy, obejrzałem pierwszy sezon jej adaptacji, zatytułowany „Dota: Dragon’s Blood”. Serial został zrealizowany przez koreańskie studio MIR, odpowiedzialne również za animowanego Wiedźmina („Zmora Wilka”). Jest dobrze zarówno pod kątem technicznej strony animacji, jak również wciągającej fabuły, której widz musi jednak dać czas na rozkręcenie

się, gdyż seria wciąga na dobre od trzeciego epizodu.

Podobać się może kreacja głównego bohatera, smoczego rycerza Daviona, który zajmuje się profesją nieco zbliżoną do naszego Białego Wilka. W końcu przydomek smoczy rycerz zobowiązuje. Mężczyzna świetnie posługuje się tak bronią białą, co ciętym dowcipem. Wraz z księżniczką Miraną, której towarzyszy w wyprawie, tworzą zgrany duet. Rycerz skrywa jednak przerażającą tajemnicę. Intryga postawi na krawędzi nie tylko osobiste bóle bohaterów, lecz jak na porządek

fantasy przystało, również losy świata. Pierwszy sezon rozstawia jedynie pionki na szachownicy i zaostża apetyt na więcej.

Jeżeli tak jak ja nie znacie gry, w przeszłości jednak uwielbialiście anime pokroju „Kronik wojny na Lodoss”, emitowanych dawno temu chociażby na polskim Canal+ czy też nieistniejącym już Hyperze, to dajcie szansę animacji Netfliksa. Fanów gry chyba nie muszą do tego przekonywać, gdyż oni już pewnie dawno to zrobili.

▲ Paweł Koczułap

Info: „Dota. Dragon’s Blood” | gatunek: fantasy | liczba odcinków: 24 (3 sezony) | platforma: Netflix



OSTATNIE LATO

Liczba tomów: 1 (Waneko 2018)

Jedenastoletni Natsuru odkąd odrzucił zaloty koleżanki z klasy, jest całkowicie ignorowany przez wszystkie dziewczyny. Tuż przed wakacjami zbieg okoliczności sprawia, że nawiązuje kontakt z Suzumurą, najwyższą dziewczyną w jego klasie. Chłopak zaczyna się z nią

spotykać i przypadkowo odkrywa jej szokujący sekret...

„Kłamstwa bogów”, manga autorstwa Kaori Ozaki, zaskoczyła mnie bardzo pozytywnie. Powiem więcej - podczas lektury momentami wywoływała ciarki na plecach, ponieważ przedstawiona historia ma mocne momenty. Patrząc jednak na okładkę można odnieść mylne wrażenie, że lektura to kolejne romansidło dla nastolatków, tyle że z rysunkami a la studio Ghibli. Znałe porzekadło mówi, aby nie oceniać książki po okładce. Czytając francuski magazyn „Coyote Mag” trafiłem na recenzję tego tytułu, w której dostał najwyższą ocenę. Komiks opowiada co prawda o nastolatkach, ale

tytuł jest przeznaczony dla dojrzałych czytelników.

„Kłamstwa bogów” jest historią o dojrzwaniu, problemach przerastających człowieka, braku odpowiedzialności, głęboko skrywanych tajemnicach, ale również o... sile miłości. Miłości nie banalnej, lecz prawdziwej. Dojrzałe fabularnie dzieło nie będzie was nużyć, tylko mocno wciągnie w dylematy bohaterów. Momentami przerazi i zszokuje, wrażliwsze osoby przy lekturze mogą nawet uronić łzę.

▲ Paweł Koczułap

PAMIĘĆ I TOŻSAMOŚĆ



Wojska USA w Wietnamie, ruchy studenckie, rewolucja seksualna, podbój kosmosu i Beatlesi – szalone lata sześćdziesiąte. Pokolenie, które nie pamięta koszmaru drugiej wojny światowej, ale odczuwa jej skutki, dorasta i próbuje ułożyć sobie świat po swoim. Pewien student ze złamanym sercem wsiada na pokład pierwszego lepszego statku, by zapomnieć o smutku i uciec od szarej codzienności. W czasie rejsu poznaje piękną nieznajomą. Rozmawiają, rozmawiają, rozmawiają... Tak można by streścić niemal całą fabułę mangi „Wspomnienia Emanon” którą Shinji Kaijo stworzył na podstawie powieści Kenjiego Tsurudy. Nie mamy jednak do czynienia z komiksowym ekwivalentem powieści drogi ani tym bardziej błędem w sztuce. „Wspomnienia Emanon” nie są, mimo długich partii dialogowych i narracyjnych, historią przegadaną. Cała struktura dzieła opiera się na ciekawym, a zapewne znanym miłośnikom fantastyki naukowej koncepcie przekazywania wspomnień. O tytułowej bohaterce możemy bez cienia przesady powiedzieć, że posiada pamięć absolutną – obejmującą całe dzieje ludzkości, ba, sięgając do początków życia na Ziemi. To dar czy przekleństwo? Szesnastoletnia Emanon odziedziczyła tę niezwykłą zdolność po swojej matce. Królestwo natury, w którym wygrywa najsilniejszy, a także dzieje ludzi (walczących między sobą o zasoby i terytorium nie mniej zaciekle niż zwierzęta o przetrwanie) składają dziewczynę do bardzo gorzkich konkluzji na temat człowieka i świata, który bezmyślnie niszczy. Ale towarzysz Emanon widzi w tym brzemieniu także nadzieję dla ludzkości i siebie samego.

W mandze nie brak odniesień do klasyki SF oraz teorii dotyczących mechanizmu dziedziczenia, które nota bene w przekładzie Anny Koike brzmią

dużo bardziej przekonująco niż w oryginale, ale wciąż widać, że żaden z twórców genetykiem czy neurologiem nie jest. Ale dla fanów gatunku ważniejsze niż futurystyczne wizje będzie to, co stanowi o uniwersalności fantastyki naukowej, czyli zaplecze filozoficzne, które w subtelny sposób łączy się z wątkiem romantycznym. Ponieważ rdzeniem osobowości Emanon jest jej pamięć, możemy uznać tytułową bohaterkę za istotę nieśmiertelną. Pod wieloma imionami pojawia się w mitach i legendach. Jednak jej obecne miano to czytane wspaniałe „no name”, Bezimienna. Chłopak, którego spotyka, też pozostaje anonimowy, a jego życie, zwłaszcza z perspektywy ważnych przemian społecznych, sprawia wrażenie przypadkowego i bez znaczenia. Jednak pamięć Emanon zachowuje tę pozornie jałową egzystencję. Świadomość tego, że przypadkowo spotkana dziewczyna zapamięta go do końca świata, ratuje bohatera z otchłani zwątpienia. Spojrzenie Emanon jest spojrzeniem kochającego Boga, dla którego nie ma ludzi zbędnych czy mniej ważnych. Tylko nieliczni dostają szansę, by zapisać się w historii, dzieje ludzkości to z perspektywy kosmicznej mgienność oka, a nasza ojczyzna planeta jest zaledwie drobiną w bezkresnym wszechświecie. Myśl, że jakaś Emanon o nas pamięta, pozwala nam zmierzyć się pustką nieskończonych przestrzeni i naszymi własnymi tęsknotami. Choć autorzy wychowani w kręgu sintoizmu i buddyzmu opisali ten fenomen może nieco innymi słowami, „Emanon” jest uniwersalnym zaproszeniem do medytacji nad sensem życia istoty, którą Pascal nazwał myślącą trzciną. Prawdopodobnie podczas lektury każdy czytelnik na własną rękę zdefiniuje wymowę tego dzieła. Zaproponowałam swoją interpretację, by pokazać, jak daleko można sięgać, czytając historię o tym, że dwoje młodych ludzi pije na statku wino w zimną, gwiazdzystą noc. Właśnie ta zachęta do refleksji, dużo mniej nachalna, niż mogłoby wynikać z mojego opisu, wydaje mi się największą zaletą „Wspomnień Emanon”.

Fakt, że fabułę niemal pozbawioną akcji umieszczono w konkretnym miejscu i czasie, również ma swoją głęboką wymowę. To nie tylko nostalgiczna podróż autora powieści (rocznik '47) do własnej młodości czy przywołanie ciekawej epoki, ale też

podkreślenie, jak ważna jest chwila obecna. Ta wrażliwość na kontekst społeczny objawia się zarówno w prostych scenkach rodzajowych, zdradających mentalność epoki, jak i w warstwie językowej czy na płaszczyźnie graficznej. Dość proste, klasycznie piękne, choć niepozbawione cech charakterystycznych twarzy przy jednocześnie realistycznym tle mogą kojarzyć się z pracami Inio Asano, a nieśmieszne tempo akcji przypomina mangi Jirō Taniguchiego. Polska wersja komiksu ukazała się dzięki Studiu JG – to bardzo staranna edycja, pozwalająca docenić rysunki Tsuruty, również te w kolorze.

Bohaterka o wielu twarzach i imionach, swym czułym spojrzeniem obejmująca całość historii i prehistorii, a jednocześnie wypatrująca ukochanego człowieka, podbiła serca japońskich czytelników. Autorzy pokusili się więc o kontynuację jej przygód w kilku innych epokach. Być może te pozycje nie są już koncepcyjnie tak świeże jak wyjściowa historia, ale twórcy udowodnili, że do wątków obyczajowych też nie brak im talentu. Nie wykluczam, że obecna na naszym rynku część „Emanon” rozzarczyje tych, którzy za mocno skupili się na elementach SF i oczekiwali rzetelniejszych wyjaśnień. Myślę jednak, że manga przypadnie do gustu wszystkim, którzy w szeroko pojętej fantastyce – czy ogólnie w komiksach – szukają materiału do przemyśleń.

▲ Vanitachi



Liczba tomów: 1 (Studio JG 2019)



CYKL POLSKA DRUGĄ JAPONIA, część 3 GDZIE JEST TWÓJ TOTEM, TAM I SERCE TWOJE

Jest pewien lud, który wierzy, że centrum świata znajduje się tam, gdzie jego totem. Gromadzi się wokół tego totemu i dzięki temu ma pewność, że jest na swoim miejscu. Ale ponieważ należy do plemion wędrownych, często zmienia siedzibę. Wtedy trzeba wziąć totem na ramiona i ruszyć w drogę, wyznaczając nowe centrum świata. Oto ich przepis na to, by wszędzie czuć się jak w domu. Niestety z wykładów z antropologii nie zapamiętałam, jak nazywało się to sprytne plemię. Na pewno nie lud Yamato. Ale im więcej mang czytam, tym częściej łapię się na myśli, że lud Yamato postępuje bardzo podobnie.

Zjawisko jest stare jak ludzkość: Chińczycy nazywali się Krajem Środka, Grecy uważali swoją świątynię w Delfach za pępek świata – i to tak dosłownie, że wystawili owemu pępkowi pomnik. Kiedy Norman Davies napisał historię Polski zatytułowaną „Serce Europy”, bez wątpienia podbił serca wielu Polaków. Czy innych mieszkańców kontynentu również, to już bardziej wąt-

pliwe, bo z jego „Europy” wynikało prędzej, że nasz kraj jest traktowany raczej jako „ubi leones” (tam, gdzie mieszkają lwy, diabeł mówi dobranoc, prąd zawraca, a psy szczekają podogoniem). Akcja dramatu „Ubu króla” Alfreda Jarry’ego (takiej francuskiej Masłowskiej z 1888 r.) rozgrywa się „w Polsce, czyli nigdzie”. Smuteczek. Ale zabawa w doganianie Europy, rozpoczęta chyba jeszcze przed zaborami, dziwna mieszanka resentymentów, kompleksów i manii wielkości, to nie jest zjawisko jedynie polskie. Japończyk Polaka zrozumiem. Wystarczy, że przypomni sobie tego cholernego Perry’ego z jego czarnymi okrętami. Przymusowe otwieranie się na świat i nie do końca chciany kontakt z kulturą Zachodu zrodziły w sercach ludu Yamato dwie tendencje: przerażenie, że jesteśmy zaofofani i musimy teraz gambarować ze wszystkich sił, by dorównać Ameryce czy Europie... oraz przekonanie, że tak naprawdę to Ameryka i Europa są głupie, zepsute, i powinny się uczyć od nas, a my musimy gambarować, aby udowodnić swoją wyższość. Nastro-

je te, choć sprzeczne, miały wspólny mianownik i długo walczyły ze sobą o lepsze, doprowadzając przy okazji do kilku jatek w Azji i na Pacyfiku. Myślę, że nadal walczą. Kamui („X/1999”) ścisła pod pachą kulę ziemską, a której terytorium Japonii zajmuje połowę globu. Główna bohaterka „Somali i strażnika lasu” idzie na oż-w-mordę-jaki-japoński festiwal i je jabłuszka w karmelu (nawet jeśli w jej świecie to nie są jabłuszka). Magiczni wojownicy („Slayers”) moczą się w gorących źródłach. Protagonista „Unbreakable Machine-Doll”, choć ogólnie jest niezguł, to także „czarnowłosym mistrzem marionetek z Dalekiego Wschodu”. Lud Ackermannów („Atak tytanów”) też ma takie dziwne korzenie... A bohaterowie „Ikigai” uciekają z opresyjnego, technokratycznego, pogrywającego ludzkim życiem kraju przypominającego Japonię do prawdziwej Japonii – i do dziś nie wiem, czy to była to ze strony autora święta naiwność, czy gryząca ironia. Z drugiej strony wojowniczy o miłość i sprawiedliwość oraz ninja w pomarańczowych dresach mają blond włosy i niebieskie oczy. O co w tym chodzi? Zapewne i o fascynację egzotyką (my przeżywamy modę na orientalizm, oni na oksydentalizm), i o pragnienie dowartościowania swojego. Bywa to nieco niepokojące, gdy innym kulturom przypisuje się japońską mentalność czy modele społeczne, jak to na przykład ma miejsce w „Opowieści panny młodej”, chociaż manga Kaoru Mori i tak dowodzi dużego wysiłku, by poznać i zrozumieć inne kraje i obyczaje. Mnie wypychanie do połowy tytułów osadzonych w niejapońskich realiach jakichś „czarnowłosych mistrzów z Dalekiego Wschodu” przestało irytować, gdy uświadomiłam sobie, co zrobił Henryk Sienkiewicz w „Quo vadis” z Ligią Kalliną, jasnowłosą chrześcijanką pochodzącą z kraju Ligów. Którzy w czasach rzymskich zamieszkiwali górne dorzecze Wisły i Odry, cóż za miły zbieg okoliczności. Widać Japończyki również potrzebują mang rysowanych ku pokrzepieniu serc, a punkt widzenia zależy od totemu ustawienia.

Vanitachi



UKRYTE ZA MASKAMI

Liczba tomów: 5 (Waneko 2015)

Kojarzycie, czym jest bondage? Jeżeli wpisiecie wyraz w google, uzyskacie odpowiedź. W dużym uproszczeniu, określa się tak zabawę seksualną, w której dominujący partner/partnerka krępuje za pomocą sznura uległego partnera/partnerkę. Osoba krępowana godzi się na poddanie fantazji erotycznej snutej przez dominującego/dominującą.

Lisa od zawsze była inna, trzymała to jednak w tajemnicy. Jako nastolatka, gdy była sama w domu, uwielbiała krępować swoje ciało sznurem. Niecodzienna fantazja erotyczna towarzyszyła jej również w dorosłym życiu. Nie umiała jednak otwarcie rozmawiać o niej ze swoim partnerem, co sprawiło, że życie erotyczne nie przynosiło jej satysfakcji. Bondage z drugą osobą pozostałoby na zawsze niespełnionym marzeniem, gdyby pewnego dnia nie poznała Ally. Dziewczyny często rozmawiały o swoich nietypowych zainteresowaniach przez internet. Pewnego dnia Lisa spontanicznie zaproponowała spotkanie w realu, a Ally się zgodziła. W tamtym momencie przed kobietami otworzyła się droga do seksualnego spełnienia.

Tak zaczyna się pięciotomowy erotyk autorstwa chorwackiego rysownika Stjepana Sejica, autora znane- go „in... z Witchblade”. Komiks nie bez powodu nosi tytuł Sunstone. To słowo klucz dla głównych bohaterek, zawór bezpieczeństwa w ich wzajemnej relacji. Piszę o relacji, bo (jak nietrudno się domyślić) dziewczyny spędziły ze sobą noc. I to jeszcze jaką! Ally okazała się prawdziwą dominą, mieszkającą samotnie w wielkiej willi. Lateksowe stroje, pejsze i szalone erotyczne scenariusze to jej specjalność. Lisa została skrepo-

wana przez kochankę, co doprowadziło ją do ekstazy. Co oznacza tajemnicze słowo i czy kiedykolwiek zostanie wypowiedziane? Oczywiście nie zdradzę, tę tajemnicę odkryjecie sami, jeżeli zdecydujecie się sięgnąć po ten komiks, który gorąco polecam. Chemia między kochankami jest niemalże wyczuwalna przez czytelnika, pomimo to, nie zawsze będzie różowo. Na przeszkodzie staną tajemnicze z przeszłości bohaterki. Sprawy zaczną komplikować się jeszcze bardziej, gdy Lisa zacznie uświadamiać sobie, że to, co czuje do Ally, jest czymś więcej aniżeli tylko erotyczną fascynacją.

Dużym plusem Sunstone jest kolorowa oprawa graficzna. Autor przepięknie rysuje kobiety z zachowaniem anatomii ciała. Seks, jak również sesje BDSM, w których uczestniczą Lisa i Ally, są realistyczne i dosadne, zachowują jednak zmysłowości i smak. W końcu mamy do czynienia z pozycją erotyczną, a nie pornograficzną. Podoba mi się również sposób narracji. Otóż, na początku historii, Lisa postanawia napisać książkę, która będzie opowiadać o jej związku z Ally. Taki zabieg zastosowany przez Sejica pozwala czytelnikowi poznać historię bohaterki od początku do końca z punktu widzenia Lisy. Oprócz dziewczyny poznamy także inne postaci. Alana, byłego chłopaka Ally, obecnie jej najlepszego przyjaciela, zawodowo zajmującego się projektowaniem mebli do BDSM. Poznamy również małżeństwo zafascynowane wyrafinowaną erotyką oraz pewną tatużystkę. Wraz z bohaterkami, czytelnik będzie miał możliwość odowiedzenia prawdziwego klubu sado-maso oraz przekonania się, że ludzie interesujący się takimi rzeczami nie są złoźcerkami.

Ciekawostką jest, że Sunstone powstało w czasie artystycznego kryzysu Sejica. Tworząc Witchblade w pew-



nym momencie dopadło go znużenie pracą, jak sam mówi, dotarł do muru. Taki moment przeżywa każdy artysta. Musi złapać świeżość, aby to, co robi, ponownie zaczęło mu sprawiać przyjemność. Sejic założył konto na DeviantArt i zaczął publikować tam tzw. stripy, czyli niezobowiązujące historie o dwóch dziewczyn zafascynowanych sado-maso. Wiemy, jak to się skończyło. Dzisiaj czytamy komiks na papierze.

Sunstone to magnetyzująca opowieść o dwóch kobietach, odkrywających nawzajem siebie i swoje potrzeby. Co prawda, potrzeby dość nietypowe, może nawet kontrowersyjne dla osób nieobeznanych z tematem BDSM. Jednakże ich realizacja wydaje się warunkiem koniecznym do osiągnięcia spełnienia w życiu. To nie jest zwykły erotyk, ten komiks wysłał jasny przekaz, że warto słuchać swoich pragnień i je realizować. Nie chodzi tylko o potrzeby seksualne, ale o coś więcej. Może czas porzucić maski. Jeżeli po lekturze będziecie czuli potrzebę łóżkowych eksperymentów z BDSM, czemu by nie spróbować? W końcu każdy ma prawo robić to, na co ma ochotę.

► Paweł Koculap

W O D N I C E

Liczba tomów: 1 (Timof Comics)

Założenia były dwa – narysować historię o zębach, bo są trudne do przedstawienia, i stworzyć najpiękniejszy album komiksowy w całym swoim dotychczasowym dorobku. Tak Tony Sandoval opowiadał o pracy nad „Wężem wodnym” w wywiadzie z Dominiką Węclawek na festiwalu Komiksowa Warszawa dobre kilka lat temu. I choć od tego czasu zdążył przygotować kilka innych komiksów, w tym bardzo ważne autobiograficzne „Spotkanie w Phoenix”, historia dwóch dziewczynek i podwodnego królestwa pozostaje jednym z najbardziej reprezentatywnych dzieł tego meksykańskiego artysty.

Główne inspiracje – Gustav Klimt i Edgar Allan Poe, zwłaszcza jego opowiadanie „Berenice” o fascynującym pięknych zębach. Technika – przede wszystkim farby i ołówki, choć kilka stron rozdziału drugiego bardziej przypomina manierę ze wcześniejszych „Wybrków Xinophixeroxa”, gdzie rysunki tworzył akwarełami i tuszem. A historia? Baśniewa, oniryczna, odrobinę (homo)erotyczna i w gruncie rzeczy mocno pretekstowa. Jej streszczanie przypominałoby układanie planu wydarzeń w „Świętanie”. Jest więc chłopiec pięk-

ny i młody... Nie. Są dwie dziewczynki. Jedna, ciemnowłosa Mela, córka dentysty, dojeżdża z Market City na rowerze, aby cieszyć się kąpielą w jez. Druga, jasnowłosa Agnieszka, lubi straszyc plażowiczów, wyskakując na nich z kijem i w lisiej masce, a poza tym opowiada niestworzone historie o swoich zębach i ich astralnych przygodach. W wieku pięciu lat pokłnęła żywą ośmiorniczkę i to zaważyło na ich (dziewczynki i ośmiorniczki) losie. Mimo młodości bohaterki i przeuroczych projektów postaci (cieniutkie kończyny, wielkie głowy) dużo w tej opowieści krwi i trochę macek. Scena pocałunku bardzo przypomina tę ze wspomnianych „Wybrków Xinophixeroxa” i chociaż w „Wężu wodnym” nie zobaczymy za wiele nagości (tylko razem nie będzie też gwałtów i rozrywania na strzępy), to jednak znajomość innych prac autora nie pozwala czytać tego komiksu tak niefrasobliwie, jak może by należało. Dlatego osobom, które chciałyby wiedzieć, czym zajmuje się Tony Sandoval, polecam zacząć właśnie od tego albumu. Ukazał się on nakładem wydawnictwa Timof Comics dwa razy, w 2014 i 2015 roku, obecnie może być trudny do upolowania, ale liczę, że zain-



teresowanie autorem na Zachodzie (a „Wąż wodny” – jako „Watersnakes” – ukazał się po angielsku dopiero we wrześniu 2021 roku) zachęci polskiego wydawcę do wznowienia tego tytułu. Jeśli nie, polujcie na edycję z 2014, ja od razu zakochałam się w okładce. Dialogi w przekładzie Katarzyny Sajdakowskiej wypadają bardzo naturalnie, choć w kilku momentach dobrze by im zrobiło wyrugowanie powtórzeń, bo co wolno w serialu czy audycji, to niekoniecznie sprawdzi się w komiksie, który jest jednak medium bardziej literackim. Zasadniczo jednak tekstu jest niewiele i raczej nie przykuwa uwagi „Węża wodnego” czytamy obrazem. Album dużego formatu pozwala cieszyć się subtelnym doбором kolorów i pomysłowym kadrowaniem, ale niuanse psychologii postaci raczej nie będą spędzały nam snu z powiek. Myślę więc, że w pierwszej kolejności mogę polecić „Węża wodnego” amatorom pięknych rysunków, artystom (również tym in spe) poszukującym inspiracji, czytelnikom mang Nagabe i Hitohai, następnie – wielbicielom dawnych i współczesnych mitów (czyż wyobrażone lato nie wygląda jak z kart „Bestiariusza słowiańskiego”?); Jeśli kogoś zwabiły macki i całujące się nastolatki, to podpowiem, że więcej tego typu treści znajdziecie jednak w publikacjach wyraźnie oznaczonych „+18”, więc trochę głupio byłoby kupować Sandovala akurat po to. Przynajmniej tego Sandovala.

► Vanitachi

ROBERT MR. ROOT KORZENIEWSKI OJCIEC CHRZESTNY MANGI W POLSCE

Każdy fandom ma w swojej historii osoby, którym wiele zawdzięcza. Dla polskiej branży mangi i anime takim człowiekiem był Robert Korzeniewski, znany jako Mr. Root. Piszę w czasie przeszłym, bo obecnie poświęca się on swojej innej pasji, którą jest muzyka. W środowisku muzycznym również używa jako pseudonimu artystycznego swojej ksywki Mr.Root. Jest nie tylko dobrze rozpoznawalnym DJem, ale również producentem muzycznym, mającym własne studio nagraniowe. Prywatnie, jest mężem aktorki i piosenkarki Moniki Jarosińskiej. W środowisku fanów azjatyckiej kreski pozostanie jednak zapamiętany jako ojciec chrzestny mangi w Polsce.

Legenda krąży już o tym, jak Mr. Root zetknął się pierwszy raz z wytworem japońskiej popkultury. Akira Katsuhiko Otomo był pierwszym filmem, który obejrzał. Kasetę VHS kupił na targach komputerowych w Londynie, gdzie po raz pierwszy usłyszał termin *manga video*. Jego zachwyt po obejrzeniu filmu był tak duży, że zaczął zdawać sobie sprawę z tego, iż ma do czynienia z czymś fascynującym, i że tego typu rzeczy jest więcej. Jak każda osoba zainteresowana danym tematem, zaczął chłonać wiedzę i sprowadzać kolejne filmy z zagra-

nicy. Będąc rozpoznawalnym w środowisku komputerowców (zwłaszcza amigowców), postanowił o swoim odkryciu napisać właśnie na łamach prasy komputerowej.

Pierwszy trzystronicowy artykuł pojawił się w *Gamblerze* nr 2/1995 i przeszedł w zasadzie bez echa. Pod koniec roku o swoim nowym hobby Korzeniewski napisał w innym bardzo popularnym wówczas magazynie, *Secret Service*. To, co działo się potem, było ogromnym szokiem dla redakcji magazynu, która została zasypana listami czytelników. Ludzie dosłownie zwariowali na punkcie mangi i anime. Otworzyliście nam oczy! – pisali. Był to przełomowy moment dla polskiego fandomu, gdyż rzeczy zostały w końcu nazwane po imieniu: manga to japoński komiks, anime to japoński film animowany. W taki sposób, kreskówki z Japonii 1 przestały być nazywane bajkami. Swoje zrobiła również ogromna popularność *Sailor Moon* – Czarodziejki z Księżyca. Świeża wówczas



czas seria wystartowała z emisją w ogólnodostępnej telewizji Polsat.

Takiego pospolitego ruszenia po jednym artykule wydawca *Secret Service* na pewno się nie spodziewał. Zdał sobie jednak sprawę, że trzeba kuć żelazo, póki gorące. *Manga Room* – tak właśnie nazwana została stała rubryka, która zaczęła się ukazywać w *Secret Service*. Jej głównym gospodarzem został oczywiście sam pomysłodawca, chociaż recenzje pisały także inne osoby. Dział zajmował zazwyczaj dwie ostatnie strony pisma i oprócz artykułów o *Sailor Moon* oraz newsów, recenzowane były filmy wydane za granicą na kasetach VHS. Importem tych dóbr do Polski od 1996 roku zajmowała się firma *Planet Manga*, której współ-



właścicielem był również Mr. Root. Oferta reklamowa firmy była systematycznie zamieszczana na łamach *Secret Service*. Dostępne wówczas tytuły to serie OVA, m.in. sensacyjne *Gunsmith Cats*, komediowe *Dragon*



Half, *Tenchi Muyo!*, przygodowy *Moldiver*, ale także seria dla dorosłych *Sukeban Deka*. Młodszym fanom tytuły te zapewne niewiele mówią, natomiast osoby, które zaczynały wówczas interesować się tematem, na pewno gdzieś na strychu lub w piwnicy posiadają kasety *Planet Mangi*. Warto przypomnieć, że za kasety z jednym odcinkiem w angielskiej wersji językowej trzeba było zapłacić około pięćdziesięciu złotych. Dla wielu fanów była to cena zaporowa. Gdy taki zakup się udał, to kaseta była eksplo-

Dział *Manga Room* ukazywał się do samego upadku *Secretu*, czyli do końca 2001 roku. Stąd wywodzi się pismo *Animegaido*, poświęcone w całości japońskiej popkulturze (ukazało się 5 numerów). Większość lu-

atowana przez magnetowid po kilka razy w tygodniu. Firma została oficjalnym importerem kultowej

dzisiaj serii telewizyjnej *Neon Genesis Evangelion*, co było dużym sukcesem. W późniejszych latach udało się wydać na kasetach również anime po polsku. Były to kinówki *Sailor Moon*, *Armitage III*, *Tenchi Muyo!* (1&2) oraz *Dragon Ball*.

Dział *Manga Room* ukazywał się do samego upadku *Secretu*, czyli do końca 2001 roku. Stąd wywodzi się pismo *Animegaido*, poświęcone w całości japońskiej popkulturze (ukazało się 5 numerów). Większość lu-



Skan artykułu z *Secret Service* 1/96 str. 82

Dobre czasy idą dla Otaku. Do prekursorskiego Polsatu (*Sailor Moon*) i Polonii 1 (kilkanaście serii dla dzieci – m.in. *Yattaman*, *Królestwo Kalendarza*, *Tygrysia Maskę*, *Zorro*, *Gigi La Trottoła*, *Kapitan Hawk*, *Pojedynek Aniolów*, *General Daimos*, *Czarodziejskie Zwierciadelfo*, *Baseballista*) dołączył również Canal+ z dwoma pełnometrażowymi filmami jednego z najznakomitszych przedstawicieli japońskiej animacji – Hayao Miyazaki. „Szkarłatny Pilot” opowiada losy pilota, weterana Pierwszej Wojny Światowej, prowadzącego życie na jednej z wysp Morza Śródziemnego. Powietrzne pojedynki, walki z piratami, porwania i ucieczki – wszystko to przedstawione na tle powoli odchodzącego w przeszłość świata wolności i swobody. Tytułowy Szkarłatny Pilot jest jednym z ostatnich rycerzy przestworzy, reprezentującym zapomniane już ideały honoru i szlachetności.

Jego świat musi jednak ulec zagładzie w obliczu nadciągającego fałszywu. Jak mówi sam reżyser: „To film dla dorosłych, którzy w dzieciństwie marzyli o czystym życiu, mieli ideały”. Kolejnym filmem jest zapowiadany na 7 stycznia „Mój Sąsiad Totoro”. Film przeznaczony jest dla dzieci i opowiada o życiu małych dziewczynek Satsuki i Mei, które przenoszą się na wieś, aby być bliżej szpitala, w którym leży ich chora mama. Dziewczynki spotykają tu tajemnicze, widzialne tylko dla dzieci stworzenia – Totorów. Dla wszystkich zgłodniałych: codziennie na satelitarnym kanale francuskim MCM emitowany jest kilka razy dziennie 5-minutowy program *Manga Zone* – głównie przegląd nowości, a na RTL2 seriały po niemiecku. Jednym z najciekawszych pomysłów, który się objawił w listach jest

powstanie Klubu Anime i Mangi pod patronatem SS. Idea jest fajna, lecz wymaga jeszcze uściślenia – napiszcie, czym miałyby się on zajmować, na jakich zasadach działać? Wielu z was chciało by rozszerzenia *Manga Roomu*. Ja też bym chciał ale co na to znaczna większość czytelników, która kupuje SS przede wszystkim dla gier? **Mr. Root** Panienka z okładki ostatniego SS'30 to IRIA z filmu IRIA, ZE-IRAM THE ANIMATION.

PRZEKROJE

dzi czerpała swoją pierwszą wiedzę o hobby właśnie z *Manga Roomu*. Robert miał dar zaszczepiania miłości do japońskiej popkultury. Zorganizowany przez niego w warszawskim klubie *Stodoła* słynny *Dzień z Sailor Moon* przyciągnął ponad trzy tysiące fanów z całej Polski. Liczba przybyłych totalnie zaskoczyła organizatorów, którzy nie spodziewali się takiej frekwencji. W rezultacie, ze względów bezpieczeństwa, nie wszyscy zostali wpuszczeni do środka, co pozostawiło ogromny niesmak. Impreza pokazała, jak wielki potencjał ludzki wokół mangi i anime zgromadził Robert Mr. Root Korzeniewski.



pisał Paweł Mr. Jedi Musiałowski. Z tego działu wywodziło się już legendarne pismo *Kawaii*, które przetrwało na rynku wiele lat i ukształtowało fandom. Nawet w *Clicku!* próbawo utworzyć rubrykę o mande. Aktualnie na łamach *Pixela* Michał Radomił

Robert zamknął już definitywnie ten rozdział życia, chętnie jednak o nim wspomina przy okazji różnych wywiadów.

Wiśniewski regularnie pisze o anime. Mr. Root połączył gry, mangę i anime na zawsze

Robert zamknął już definitywnie ten rozdział życia, chętnie jednak o nim wspomina przy okazji różnych wywiadów. Był gościem w MR JEDI TV w programie *Japonia oczami fana*, mówił o naszym hobby w filmie dokumentalnym *Thank You for Playing – kultowe magazyny o grach*. *Manga Room*, *Planet Manga*, *Animegaido* itd. na zawsze wpisały się w polską historię branży, w której Mr. Root będzie wspomniany jako człowiek, który sprowadził mangę do Polski i zbudował solidne fundamenty na przyszłość.

Paweł Koczułap

EGZEMPLARZ
BEZPŁATNY

POPCORNER⁺

FILMY • SERIALE • GRY • MANGA • ANIME • KOMIKS • PRZEKROJE



ISSN 0271-938X



9 770271 938029 >

Disney+ MARVEL STUDIOS

↑hawkeye

Nieregularnik nr 1 (6) 2022